

MYSŁ NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 25

WARSZAWA, 16 CZERWCA 1929 R.

CENA NUMERU 80 gr.

PO ZAJŚCIACH LWOWSKICH

ZAJŚCIA lwowskie wykazały niezbiecie, jak mocne węzły przyjaźni, albo lepiej, zależności łączą obóz „sanacyjny” z żydami.

Prasa, popierająca rząd, nietylko zaatakowała z furją polską młodzież akademicką ale z niewolniczą usługowością starała się pomniejszyć albo zgoła nie widzieć zaczepek żydowskich. Żadnych „gorszących” wystąpień ze strony żydowskiej nie było, wszystkiemu winien „Obwiepol lwowski” czyli, mówiąc po polsku a nie po bolszewicku, Obóz Wielkiej Polski. Tak uproszczony system rozumowania sprawił, że prasa „sanacyjna” straciła głowę i zaledwie zdobyła się na bezsilną złość. Podziwiać należy gruboskórność „sanatorów”, którzy dopiero w razie „gorszących” zajść zaczęliby się zastanawiać nad potrzebą reakcji. Młodzieży polskiej wystarczył fakt natrząsania się z naszych obrzędów religijnych i kiedy nie znalazła należytego zrozumienia lub choćby obietnicy ukarania zuchwalców, postanowiła sama na zaczepki odpowiedzieć.

Trzeba raz na zawsze przyjąć, że naród, mający poczucie honoru, nie może pozwolić, ażeby mu przybysze bezkarnie po głowie deptali. Każda, nawet najmniejsza zaczepka musi być odpowiednio skarcona. Gdyby natomiast żydzi chcieli na terytorjum naszego państwa wywoływać stale „gorszące” sceny, musieli by Polskę opuścić.

To należy jasno powiedzieć w imię pokojowego współżycia wszystkich obywateli państwa polskiego. Próby innych rozwiązań — wbrew zapewnieniom czy obietnicom „sanacji” — prowadzą, bo prowadzić muszą do niepokojów. Trwały pokój wewnętrzny może zapewnić Polsce dopiero ustrój narodowy. Tylko państwo narodowe, w którym jeden naród przewodzi, zdolne jest w dzisiejszych warunkach do życia. Kto tej prawdy nie rozumie, jest poprostu ignorantem, nie orjen-

tującym się w procesach historycznych chwili bieżącej. Ludności zaś niepolskiej trzeba szczerze oświadczyć, że korzystanie z dobrodziejstw naszego państwa obowiązuje do lojalnego zachowywania się i okazywania pełnego szacunku dla wiary katolickiej i przekonań narodowych Polaków. Dopóki obóz „sanacyjny” i lewicowy nie pojmie tych prostych twierdzeń, dopóty będzie skazany na ciągłe niespodzianki i na stałe trudności w kraju.

W niezrozumieniu podstawowych zasad bytu narodowego przez przedstawicieli „sanacji” tkwi, naszym zdaniem, źródło zajść lwowskich. Zabawne jest pomawianie przez prasę prorządową Obozu Wielkiej Polski o sztuczne wywołanie tych zajść. Chcemy dziś uspokoić „sanatorów”, niech przestaną śledzić i węszyć! Obóz Wielkiej Polski nie mógł kierować zajściami lwowskimi z tej prostej przyczyny, że został przed 2 laty na terenie Małopolski Wschodniej rozwiązany. Skąd więc ten strach przed zwinętą nieopatrznie we Lwowie organizacją O. W. P? Czyżby terror i rozwiązywanie organizacji narodowych pomnażało ich siły?

Śmieszna jest również w ustach ludzi, którzy od maja r. 1926 nadają ton naszemu życiu zbiorowemu, przesadna troska o opinię międzynarodową Polski. Gdyby ludzie ci dbali istotnie o naszą reputację zagranicą, inaczej może potoczyłoby się nasze życie w ciągu trzech lat ostatnich. Nie zaginąłby wtedy bez śladu generał, nie napadano by na byłego ministra i na niezależnych publicystów, nie ogłaszanoby artykułów, potępiających w czambuł naród polski, nie mówiąc już o nieprzyzwoitym języku tych dokumentów. A to łatwiej chyba było udaremnić, aniżeli żądać od szanujących się Polaków, ażeby pozwolili bezkarnie lekceważyć uczucia katolickie Narodu.

Naród, który ma poczucie własnej godności, musi umieć przywołać do porządku zuchwalców, ilekroć zapominają, że są przybyszami. Wielka jest i sławna polska gościnność, wielka polska cierpliwość, ale nie wolno jej nadużywać. Dnia 20 maja tego roku pisał z dumą w lwowskiej „Chwili“ jeden z wodzów sjonizmu w Polsce, dr. Leon Reich: „jest objawem naszej siły tu w kraju, że w erze, gdy pod hasłem tępienia partyjnictwa załamały się i rozkawałkowały najpotężniejsze stronnictwa w państwie, organizacja nasza stoi nadal w całej swej integralności“.

Z niezachwianej pewności w pomoc przemożnych organizacji międzynarodowych i ciepłarnianą opiekę rządzącej dziś „sanacji“, wyrosły w Polsce pretensje żydów do bezkarności. Przez swoje zdecydowane wystąpienie młode pokolenie Polski Niepodległej stwierdziło, iż—pomimo różnorakich zabiegów, zmie-

rzających do rozbicia społeczeństwa polskiego—jesteśmy narodem silnym, czujnym, że jakiegokolwiek harce obcych żywiołów zawsze zdołamy osadzić na miejscu i że wreszcie „elementy żydowsko-międzynarodowe“, do których się tak wdzęczy „Głos Prawdy“, nie mogą marzyć o ubliżaniu obrzędowi katolickim w Polsce. Młodzi energią swą i odwagą przełamali nastrój sennej obojętności i nastrój nudy, jaka w okresie „ponurej twórczości“ zaczęła unosić się nad Polską. Przemówiła przez nich zadraśnięta ambicja narodowa. I w tem przedewszystkiem widzimy psychologiczno-polityczne znaczenie zajść lwowskich; nie naszą bowiem rzeczą będzie ich prawno-sądowa ocena.

Tak pojęte wypadki lwowskie są pokrzepieniem dla swoich, przestrogą dla wrogów!

TADEUSZ BIELECKI

DZIŚ I PRZED LATY 10-CIU

DZIEN 16-ty czerwca 1929 przygotowuje swemi wspomnieniami z przed lat dziesięciu umysły społeczeństwa naszego bardzo pouczająco do pożytecznego święcenia rocznicy Traktatu Wersalskiego z 28 czerwca 1919, gdyż także 16-ty czerwca 1919 był dniem ważnym i pamiętnym w powstawaniu Traktatu i w dziejach pierwszego ujawnienia się ze strony Niemiec tych niestrudzonych przeciw niemu oporów, których pasmo przewija się przez całe dziesięciolecie, a które także w ważnych zdarzeniach międzynarodowych właśnie ostatnich dni znowu tak gromko się odzywają.

Dnia 7-go czerwca 1929, w Paryżu, obradująca od stycznia b. r. Komisja Znaczców, na której czele stali pp. Owen Young i Pierpont Morgan (St. Zj. Am. Półn.), sir Josiah Stamp (Wielka Brytania), p. Moreau (Francja), p. Pirelli (Italia), p. Francqui (Belgia) i p. Schacht (Niemcy) podpisała jednomyślnie sprawozdanie swe o ugodzie, dotyczącej płacenia odszkodowań przez Niemcy, w związku z równoczesnem załatwieniem płacenia długów międzysojuszniczych.

Od dnia 6-go do 8-go czerwca 1929, w Madrycie, przyjęła Rada Ligi w głównej osnowie, a od 11-go czerwca 1929 z przejściem do uzasadnienia, sprawozdanie Komitetu Trzech, tj. pp. Chamberlain'a (W. Br.), Adatci'ego (Jap.) i Quinones de Leon (Hiszp.), ustalone 28-go kwietnia b. r. w Londynie, a wywołane wystąpieniem p. Stresemann'a w Radzie Ligi dnia 15-go grudnia 1928 w Lugano, oraz wnioskami p. Stresemann'a (Niemcy) i p. Dandurand'a (Kanada) w Radzie Ligi dnia 6-go marca 1929 w Genewie.

Oba te zdarzenia dzisiejsze nabierają niemałej wyrazistości, w zestawieniu z pracą nad Traktatem Wersalskim z przed lat dziesięciu a w szczególności z dniem 16-tym czerwca 1919.

Pierwsze brzmienie przyszłego Traktatu Wersalskiego przedstawione zostało Niemcom dnia 7-go maja 1919 w Wersalu w Trianon-Palace. Niemcy, otrzymawszy upoważnienie do przedstawienia swych uwag w czasie dwu tygodni, przedstawili je dnia 29-go maja, co pociągnęło za sobą m. in. odpowiedź Delegacji Polskiej na uwagi niemieckie złożoną 3-go czerwca 1919. Następnie z ramienia Sprzymierzonych doreczone zostało Niemcom, po uwzględnieniu niektórych ich uwag a odrzuceniu przeważnej ich części,

ostateczne brzmienie wraz z obszernym i wyraźnym listem objaśniającym p. Clemenceau, dnia 16 czerwca 1919 w Hotel des Réservoirs w Wersalu, co sprawia ważność tego dnia, gdyż wtedy brzmienie Traktatu ustalone zostało już ostatecznie i nieodmiennie tylko do podpisania. Dnia 28-go czerwca 1919 podpisany został Traktat w Sali Zwierciadlanej w Wersalu.

Już wtedy do najgłówniejszych spraw, które 16-go czerwca 1919 ostatecznie musieli ustalić Sprzymierzeni, należała sprawa odszkodowań niemieckich oraz sprawa stanowiska Niemiec w Lidze Narodów.

Jakżeż one wówczas wyglądały i jak się do dzisiaj rozwijały?

*

W czasie Konferencji Pokojowej w Paryżu znawcy finansowi St. Zj. Am. określili na przeszło 140 miliardów marek złotych płatnych zaraz (czyli w rozłożeniu na raty na 30 lat około 270 miliardów marek zł.) a znawcy Francji i W. Brytanji na około 200 miliardów marek zł. płatnych zaraz (czyli odpowiednio więcej w rozłożeniu na raty), całą wysokość odszkodowań należnych razem od Niemiec. W pierwszym brzmieniu Traktatu z 7-go maja 1919 w dziale o odszkodowaniach postanowili Sprzymierzeni stwierdzić ogólnie, iż Niemcy odpowiedzialne są za wszelkie straty i szkody, oraz że Komisja Odszkodowań ustali wysokość do 1-go maja 1921. W uwagach swych z 29-go maja 1919 zgłosiła Delegacja Niemiecka gotowość zapłacenia do 1-go maja 1926 r. 20 miliardów marek zł., dalej do 1-go maja 1936 r. 10 miliardów marek zł., a dalszych 70 miliardów w większych ratach rocznych od r. 1936, czyli razem do 100 miliardów marek złotych. W odpowiedzi z 16-go czerwca 1919 odrzucili Sprzymierzeni uwagi niemieckie i dział 8-my Traktatu o odszkodowaniach został w całości utrzymany. Komisja Odszkodowań określiła dnia 27-go kwietnia 1921 wysokość długu niemieckiego na 132 miljardy marek złotych płatne zaraz. Po licznych ociąganiach się niemieckich Plan Dawesa przyjęty w Układzie Londyńskim z 30-go sierpnia 1924 nie ustalił wysokości całej, ale ustalił raty roczne, nieco znaczniejsze, przez cztery pierwsze lata od 1 miljarda do 1 miljarda 750 milionów, a od r. 1928/29 stałe 2 miljardy 500 milionów lub więcej w miarę możliwości gospodarczej. Układ obecny z 7-go czerwca 1929 sprowadza dług

odszkodowań niemieckich do 36 miliardów 885 milionów marek złotych, gdyby były płacone zaraz, a w rozłożeniu na 59 lat spłaty, przez pierwszych 37 lat raty roczne przeciętnie po 2 miliardy marek, poczem dalsze raty przez 22 lat wynosić mają od 1 miljarda 600 milionów do 900 milionów marek zł. z możliwymi obniżeniami dla Niemiec w razie zmniejszenia długów międzysojusznicznych. Układ ten oparty jest zatem na wielkim obniżeniu należności Sprzymierzonych, a na wzmocnieniu pewności płacenia, która właściwie i bez tego powinna była istnieć i dla której uzyskania Traktat zawiera innego rodzaju rękojmię.

Między czerwcem 1919 a czerwcem 1929 nie zdołały zatem Niemcy rzucić z siebie całkowicie obowiązku odszkodowań, ku czemu wyraźnie zmierzały, i co może jeszcze ponowić mimo zabezpieczeń obecnych, ale zdołały znacznie obniżyć swe zobowiązania kosztem krajów spustoszonych.

Nie to jednak jest najbardziej uderzającym znamieniem rokowań paryskich r. 1929.

Główną sprawą jest bezpośredni cel, ku któremu przez układ o odszkodowaniach idą Niemcy, mianowicie usunięcie okupacji Nadrenji nawet przed r. 1935, przewidywanym jako kres, jeżeli Niemcy spełnią wszystkie zobowiązania. Do zobowiązań tych należy jednak, wedle art. 429-go Traktatu Wersalskiego, także istnienie całkowitej rękojmi, iż Niemcy nie wystąpią zaczepnie w którąkolwiek stronę, przed czem właśnie zabezpiecza okupacja. Niemcy jednak nie tylko starają się wytwarzać taki nastrój, jakoby po układzie pieniężnym żądanie od nich jeszcze jakichś zabezpieczeń pokoju było potwornością, ale nadto w czasie rokowań pieniężnych w znanym piśmie p. Schacht'a z 17-go kwietnia 1929 wysunęły żądanie zmiany granicy Niemiec z Polską, co jest przygotowaniem umysłów na stanowczy napór w tym kierunku po usunięciu okupacji.

Tak więc w rokowaniach paryskich o odszkodowania z r. 1929 wyraźnie zarysowuje się główny tor polityki Niemiec skierowany przeciw Polsce.

Również w czasie Konferencji Pokojowej w Paryżu zjawiała się w sposób mocno zarysowany sprawa udziału Niemiec w Lidze Narodów.

Przedstawiony Delegacji Niemieckiej dnia 7-go maja 1919, wraz z całym pierwszym brzmieniem Traktatu, jako wstęp jego, Pakt Ligi Narodów, zawierał na końcu aneks, w którym wyliczono 32 Państw Sprzymierzonych jako założycieli Ligi oraz jako zaproszone do przystąpienia do Ligi: 13 Państw neutralnych. Niemcy i Państwa z niemi sprzymierzone w czasie wojny nie należały ani do jednej ani do drugiej grupy. Pozostawał dla nich tylko art. 1-szy Paktu *aline*a 2, w którym powiedziano, że Państwa niewymienione w aneksie, jeśli będą dawały istotne rękojmię szczerego zamiaru przestrzegania zobowiązań międzynarodowych, mogą być przyjęte przez pełne Zgromadzenie Ligi większością dwu trzecich.

P. Brockdorff-Rantzau, imieniem Delegacji Niemieckiej od razu dnia 9-go maja 1919, w nocy do przewodniczącego Konferencji p. Clemenceau, przesyłając niemieckie wnioski w sprawie Ligi, zapytał, jak to być może, iż Niemcy mają podpisać całość Traktatu wraz z Paktem Ligi, a tymczasem nie są zaproszone do przystąpienia. Na to odpowiedział p. Clemenceau dnia 10-go maja 1919, że wszystko jest w porządku i że delegaci niemieccy, czytając uważniej (*les délégués allemands pourront constater par un nouvel examen*) znajdują w art. 1-szym *al.* 2 przewidziany sposób i warunki przyjęcia Niemiec w przysz-

łości. Po odrzuceniu przez Konferencję w nocy z 22-go maja 1919 wszystkich wniosków Niemiec w sprawie Ligi, p. Brockdorff-Rantzau w ostatecznej wielkiej nocy niemieckiej z 29-go maja 1919 użalał się raz jeszcze szczególnie dobitnie na niedopuszczenie Niemiec do Ligi. Na to, imieniem Konferencji, p. Clemenceau w piśmie swem z 16-go czerwca 1919, objaśniającem ostateczne warunki pokoju, pozostawione bez zmian w sprawie Ligi, odpowiedział:

— W obecnym stanie międzynarodowego poczucia powszechnego, niemożliwością jest oczekiwanie od wolnych narodów świata, aby stowarzyszyły się natychmiast i na równej stopie (*qu'elles s'associent immédiatement et sur un pied d'égalité*) z tymi, którzy im wyrządzili tak ciężkie krzywdy...

I Niemcy musiały przyjąć w r. 1919 tę banicję z Ligi z takim właśnie uzasadnieniem.

We wrześniu 1924, za rządów *Labour Party* z p. Ramsay Mac Donald'em w Anglii a Kartelu Lewicy z p. Herriot'em we Francji, w związku z szumnem przygotowaniem ówczesnego t. zw. Protokołu Genewskiego, uznano za rzecz najpilniejszą zwrócenie się do Niemiec o uczestnictwo w Lidze i w Protokole. Z całego Protokołu w dwa miesiące później, po wyborach w Anglii, które sprowadziły Rząd zachowawczy Baldwin-Chamberlain-Churchill, nie zostało nic. Ale w sprawie Ligi chwyciły Niemcy wyciągniętą dłoń i, niezaproszone przed pięciu laty, teraz dały się prosić, stawiając w dodatku swe warunki. Tą drogą doszło się w r. 1925, zamiast Protokołu, do układów w Locarno, któremi Niemcy umiejętnie i podstępnie przeprowadziły rozróżnienie między granicami zachodnimi jako nienaruszalnymi a wschodnimi jako warunkowymi, a w r. 1926 do wejścia Niemiec do Ligi i na stałe miejsce do Rady Ligi, przyczem przeprowadziły one teraz swój butnie postawiony warunek, że nikt inny tj. Polska nie uzyska stałego miejsca równocześnie, czyli już nigdy bez ich zezwolenia, bo na to konieczna jest jednomyślność Rady, w której już są Niemcy.

Z udziałem w Lidze wiązała się sprawa mniejszości, wspomniana krótko w art. 93-cim Traktatu Wersalskiego dla Polski, jak w art. 86-ym dla Czechosłowacji, a bliżej omówiona w osobnych układach równoczesnych, które ustanawiały w tej sprawie opiekę i nadzór Ligi. Otóż Niemcy, w piśmie p. Brockdorff-Rantzau'a z 29-go maja 1919, obok swych wniosków w sprawie opieki nad mniejszościami, w dziale uwag poświęconych Lidze Narodów, zgłosiły gotowość przyznania mniejszościom w Niemczech tych samych praw, jakie będą miały mniejszości niemieckie w obszarach, odpadających od Niemiec. Ale w r. 1926, w chwili przystępowania Niemiec do Ligi Narodów nie zamieniono tego oświadczenia w ścisłe zobowiązanie i Niemcy są w tym względzie, poza osobną dwustronną umową górnośląską na lat 15, narówni nie z Państwami, mającemi zobowiązania mniejszościowe, lecz z Państwami nie mającemi zobowiązań.

Dzisiaj p. Stresemann, uczeń polityczny Bismarck'a gorąco go podziwiający, oraz następca jego po latach trzydziestu w kierownictwie zagranicznej polityki Niemiec, podnosi się w Radzie Ligi jako główny obrońca mniejszości, bo jest już w tej Radzie, na stałym miejscu niemieckim, a sprawę mniejszości uważa za zajmujący grunt działań politycznych.

Ale którądy wydrapał się p. Stresemann na ten cokolwiek pomnika opiekuna mniejszości?

Stało się to w Lugano w grudniu r. ub. w uderzeniu na Polskę. Złe zamiary przeciw Polsce tak bardzo widocznie przeważały nad dobrymi zamiarami.

wobec mniejszości, że p. Briand i sir Austen Chamberlain niedwuznacznie powiedzieli to p. Stresemann'owi w Genewie w marcu r. b. Także i w Madrycie obecnie, w czerwcu 1929, nikt nie wątpi, że, mówiąc o mniejszościach, p. Stresemann myśli przedewszystkiem o rozstrojeniu Państwa Polskiego.

*

Wszystko, co dzisiaj wybija się na czoło działań Niemiec w polityce międzynarodowej, stałe z ostrzem przeciw Polsce zwróconem, zarysowało się i zaczęło się już w czasie Konferencji Pokojowej w Paryżu, w okresie bezpośrednio poprzedzającym wręczenie Niemcom ostatecznego brzmienia Traktatu Wersalskiego dnia 16-go czerwca 1919.

Już wówczas ze sprawą odszkodowań wiązały Niemcy sprawę utraty wschodnich obszarów przyznanych Polsce. Już wówczas około powstającej Ligi Narodów zahaczały o opiekę nad mniejszościami nadzieje wicherzeń w Polsce. Już wówczas dla wszystkich było rzeczą widoczną, że, czując całkowitą niemoc w stronę zachodu, skierowały cały wysiłek ku ratowaniu ile można na wschodzie i ku przygotowaniu odwetu od wschodu na zmartwychwstałym ciełe Polski.

Dlatego w ostatniej nocy Niemiec do Konferencji Pokojowej w Paryżu z 29-go maja 1919 prawdziwym krzykiem serca jest wszystko, co godzi w Polskę, i dlatego też, w związku z odszkodowaniami i w związku

ze sprawami mniejszości w nowem pojęciu, jedynem istotnem ustępstwem dla Niemiec w ostatecznem brzmieniu Traktatu z 16-go czerwca 1919 było uchylenie pierwotnego przyznania Górnego Śląska Polsce i wprowadzenia tam natomiast głosowania ludności.

Rocznica 16-go czerwca 1919, jako zakończenie ówczesnych zmagających się dążeń politycznych po wojnie pewnemi wyraźnemi postanowieniami, jest przeto niezmiernie żywa po latach dziesięciu. Państwa Sprzymierzone nie tylko rozumiały wówczas, że zabiegi Niemiec czy to w zakresie odszkodowań czy w zakresie mniejszości mają swe źródła w zamysłach odwetowych, ale także umiały naogół zabiegi te odeprzeć, a znaną jest rzeczą, że jednak pewna słabość ujawniła się już wtedy kosztem Polski. Dzisiaj zabiegi kielkujące w owych pierwszych miesiącach po wojnie rozrosły się i wszystkie sprawy, czy to oporu przeciw odszkodowaniom, czy wygrywania mniejszości, czy zgłęszczającego się naporu na Polskę, uwypukliły się w sposób bodaj wówczas nieprzewidywany. Rzeczą zdrowej polityki Sprzymierzonych jest pamiętać o tem, jak te dążenia Niemiec zarysowały się już w czasie Konferencji Pokojowej i jak odwetowemu piskłeciu ówczesnemu w ciągu dziesięciolecia urósł dziób i szpony, a z pamięcią o tem złączyć silną wolę utrzymania drogo okupionego ofiarami wojennymi dzieła nowej budowy Europy, które Niemcom dano do przyjęcia bez zmian 16-go czerwca 1919.

STANISŁAW STROŃSKI

PRZEMIANY ANGIELSKIE

TRADYCYJNA, brytańska polityka podtrzymywania ciężarem własnym swego kraju równowagi sił na kontynencie, zawsze miała na celu nie tylko samą tę równowagę, lecz bardziej jeszcze może obronę pewnych pozycji geograficznych, szczególnie dla brytańskiej racji stanu ważnych. Pozycje takie, po dziś dzień o polityce angielskiej decydujące, są przedewszystkiem dwie. Pierwsza — to Niderlandy. Każde bowiem wielkie mocarstwo kontynentalne, któreby zdołało na stałe zawładnąć portami nad Kanałem, staje się militarnie groźne dla brytańskiej metropolii. Druga pozycja — to Indie Wschodnie, które gdyby W. Brytania wydarto, runęłoby jej oceaniczne imperjum. Zaciętą, przewlekłą wojnę prowadziła W. Brytania z Ludwikiem XIV nie tylko przeciw zsumowaniu jego potęgi z hiszpańską, lecz przedewszystkiem w obronie Niderlandów. Podobnie z Ludwikiem XV o Indie i Niderlandy. Przez 20 lat niemal nie wkładała oręża do pochew przeciw Napoleonowi, znów w wielkiej mierze z powodu Niderlandów. Skoaliżowała się z Francją i Rosją w XX stuleciu przeciw Niemcom, gdyż przez „*Drang nach Bagdad*” zagroziły Indjom, budową floty i rozwojem handlu ciężkie poczęły nad morzami, wreszcie zaś najechały Belgię, co bezpośrednim stało się dla Londynu *casus belli*.

Przez cały wiek XIX angielska polityka wschodnia broniła Indyj przeciwko Rosji, popierając Turcję, jako ochronne państwo buforowe. Turcja bowiem od wieków władała lewantyńskim węzłem komunikacyjnym Nowego Świata i dopóki drogi żelazne nie zdołały częściowo udostępnić obszarów Azji Środkowej, była niemal wyłącznym klucznikiem dostępu do indyjskiej krainy słońca. Którekolwiek z pośród wielkich mocarstw zdołałoby osiąść w Konstantynopolu i nad Suezem, tem samem stawało się groźne dla panowania angielskiego w Indjach. Łącznie z Francją odparła Anglia Rosję od Carogrodu w latach 1841 i 1855,

łącznie z Niemcami — w r. 1877. Łącznie z Rosją odparła Niemcy od Bizancjum i Bagdadu w latach 1914 — 18. Dla bezpieczeństwa Indyj stanem najdogodniejszym, a przez wiek XIX wypróbowanym, była równowaga i wzajemne unieruchomienie współzawodniczących dążeń Austro-Niemiec i Rosji. Inna możliwość, dla Anglii dopuszczalna, polega na odsunięciu zarówno Austro-Niemiec jak Rosji od Konstantynopola (podobnie jak to miało miejsce w w. XVII), choćby z zamianą Turcji na państwo sukcesyjne. Wszelako ta druga możliwość, która się pojawiła po wielkiej wojnie, jest dla Anglii nowa. Niezupełnie też jest wystarczająca, ile że dzięki rozwojowi komunikacji i agitacji, Rosja uzyskała środki nacisku na Anglię w Azji również poza obrębem cieśnin lewantyńskich.

W takiej konjunkturze znalazłszy się po wielkiej wojnie, Anglia w osobie Lloyd'a George'a, ujawniła głęboką nieufność, ażeby państwa sukcesyjne a wśród nich przedewszystkiem Polska, mogły się wykazać trwałą zdolnością do życia. Uważając ponadto, iż traktaty silniej odsunęły od Bosforu Niemców, niżli Rosję, poczęła Anglia pracować nad wyrównaniem tej różnicy na korzyść Niemiec, t. j. ułatwieniem im odwetu na wschodzie. Co się tyczy Moskwy, to w różnych okresach polityka angielska zmierzała, już to do odsunięcia jej możliwie daleko poza Dniepr, a więc i od Bosforu, lub też przeciwnie przesunięcia punktu ciężkości polityki sowieckiej z Azji ku zachodowi, ażeby ją tu znowu wprowadzić w stały zatarg i wzajemne unieruchomienie z Niemcami...

Dnia 20 stycznia 1924 r. objął po raz pierwszy rząd W. Brytanii premier-socjalista p. Ramsay MacDonald. Rządził krótko, tylko do października tegoż roku. W polityce wewnętrznej był skrepowany przez absolutną większość mieszczańską parlamentu. Ale w polityce międzynarodowej pozwolono mu dła-

łać swobodnie, ile że mu to w danem położeniu łatwiej i poręczniej było, niżli konserwatystom. Ujawnił też ruchliwość wielką, a dla Polski niemniej pamiętną od najgorszych okresów Lloyd George'a.

Naogół rzecz można, iż było to mobilizacją międzynarodowego pacyfizmu i radykalizmu w obronie brytańskiej racji stanu, dość powierzchownie zresztą, choć tradycyjnie, pojętej. Szło przede wszystkim o to, aby Niemców wydobyć z pod ręki Poincaré'go. Poczęści dla tego, iż mocna pozycja Francji nad Renem bezpośrednio niepokoi Anglię strategiczną współzależnością reńskiego obszaru z Niderlandami. Przede wszystkim jednak w tym celu, aby Niemcom przywrócić swobodę ruchów na Wschodzie, naprzód, z natury rzeczy, przeciw Polsce, następnie przeciwko Moskwie. Nieuniknioność bowiem lewantyńskiego antagonizmu między rozbiorowemi mocarstwami, uchodzi w Anglii nadal za dogmat wiary dyplomatycznej, ustalonej w sposób ostateczny w XIX wieku. Jak wszelako osiągnąć cel „wyzwolenia” Niemiec z pod okupacji Ruhr? Już same radykalne wybory angielskie przyniosły tutaj pewien częściowy sukces, bowiem Poincaré, obawiając się przerzutu radykalizmu z Anglii na grunt francuski, zmiekkł wobec Niemiec i zgodził się na komisję rzeczoznawców Dawesa i Mac Kenny, czyli na międzynarodowe uregulowanie sprawy odszkodowań. Stąd wszakże, w chwili objęcia rządów przez p. Mac Donalda wyływała dla Anglii nadzieja jeszcze zbyt nieokreślona. Postanowił przeto nowy premier brytański szukać dróg, któremiby mógł Niemców poratować pośrednio. Okaza się po temu trafiła dogodna. Już od 1923 roku Sowiety postanowiły „pieredyszkę” światowo-rewolucyjną, zapragnęły odżywić się kapitalistycznie z pomocą „nepu” i ujawniły powolność czy nawet pokorę (w zatargu rybackim) wobec Anglii. Za ten koniec sznura uchwycił przeto p. Mac Donald. Przy jednym ogniu piekąc dwie pieczenie, zamierzał zarazem wywrzeć pośredni nacisk na Francję, zagrażając jej wschodnim sojusznikom oraz zabezpieczyć Anglię w Azji, gdzie „czerwone niebezpieczeństwo” już się zarysowało, na razie najwyraźniej od strony tureckiej, od granicy Iraku. W tym celu należało Moskwę wycofać z Azji a zainteresować i zająć w Europie. To się też stało.

Pierwszym międzynarodowym czynem Mac Donalda było uznanie Rosji Sowieckiej i nawiązanie z nią stosunków dyplomatycznych. Wślad za tem rozeszła się wieść, iż Sowiety mają otrzymać w Londynie 50 milionów funtów pożyczki pod zastaw dochodów z kolei mandżurskiej, obiektu względnie pewnego, bo położonego na peryferji wpływów sowieckich i japońskich. Moskwa ze swej strony nawiązała układy z Chinami o wznowienie stosunków dyplomatycznych oraz... ewakuację Mongolji. Dziwy zaś dziwne poczęły się dziać na europejskim froncie Sowieckiej Rosji. Równocześnie ze zdobywcą akcją angielskiego radykalizmu w Europie zachodniej, uderzyła na nasze województwa wschodnie złowieszcza czerwona „akcja dywersyjna” organizowana systematycznie z Mińska. Przetrwała ona Mac Donalda i wygaśła ostatecznie dopiero wiosną 1925 roku, po odkryciu wielkiej organizacji powstańczej przeciwpolskiej, niemniej wielkiego spisku w Jugosławiji oraz rozsądzeniu dynamitem soboru w Sofji. Wiosną 1924 r. równocześnie z „akcją dywersyjną” wszczęły Sowiety wielki alarm przeciw Rumunji z powodu Besarabji. Ponieważ zaś Besarabja nietylko jest głównym rumuńskim obiektem przymierza z Polską, lecz zarazem otwiera Moskwie lądową drogę w kierunku Konstantynopola, przeto za jednym zamachem był to cios wymierzony przeciwko wschodnim sojusz-

nikom Francji oraz środek odsunięcia Moskwy od Turcji, na czem Anglii, ze względu na Mossul, zależało.

Złowroga ta wschodnia uwertura Mac Donaldowej polityki przyniosła Anglii więcej szkody niż korzyści. Poincaré pożyczkę angielską dla Moskwy umiał doraźnie pokrzyżować, zwrot przez Anglię pożądany w stosunku francusko-niemieckim nastąpił mocą „triumfu idei” radykalno-pacyfistycznej w samej Francji, podczas wyborów majowych 1924 roku. Moskwa zaś, osiadłszy z pożyczką na lodzie, tę samą pińską metodę dywersyjną zastosowała tam na najszerzą skalę, na innych terenach, przeciwko Anglii.

Obalamuciwszy pacyfizmem Francję i doprowadziwszy na sierpniowej konferencji w Londynie do odszkodowawczego paktu Dawesa, usiłował wprawdzie p. Mac Donald ułagodzić także i Moskwę. Niestety jednak podpisany z nią po konferencji Dawesa układ pożyczkowy, pozbawiony zastawu w kolei wschodnio-chińskiej, wymagał gwarancji skarbu angielskiego, ażeby mógł wejść w życie. Można było zgóry przewidzieć, że mieszczańska większość Izby Gmin go nie zatwierdzi. Ostatni przeto i heroiczny swój wysiłek rozwinął p. Mac Donald na V zgromadzeniu walnem Ligi Narodów, ażeby przez triumf swoiście pojętego pacyfizmu zapewnić równowagę korzyści obu mocarstwom rozbiorowym. Jego pamiętny pojedynek krasomówczy w Genewie we wrześniu 1924 r. z nowym premierem francuskim p. Herriot'em obracał się, w punkcie najistotniejszym, dookoła kolejności i zakresu wprowadzania w czyn zasad bezpieczeństwa, arbitrażu i rozbrojenia (kolejność francuska). P. Mac Donald pragnął te postulaty uszeregować w porządku: rozbrojenie, arbitraż (przymusowy, włącznie z kwestjami terytorjalnemi), oraz bezpieczeństwo, rzekomo automatycznie wypływające z dwóch poprzednich. Gdyby trzeba było dowodu na to, że p. Mac Donaldowi o nic w tym wypadku bardziej nie chodziło, niż o rozbrojenie przeciwników Niemiec i Rosji oraz możliwość procesów z ich strony o nasze prowincje kresowe, to intencje ówczesnego angielskiego premiera dostatecznie wyjaśnia osławiona wzmianka o „błędzie górnośląskim” w jego genewskiej polemice, oraz sprowokowane przezeń w Londynie żądanie Rakowskiego w sprawie plebiscytu w Małopolsce Wschodniej. Gdy jednak nawet radykała Herriot'a nie udało mu się w Genewie przekonać, zdecydował się w końcu p. Mac Donald podpisać protokół genewski, wysuwany przez Francję jako gwarancja bezpieczeństwa ogólnego w Europie. Protokół ten stwarzał tylko złudę angielskiego zobowiązania do czynnej pomocy, między innymi, także Polsce, w razie napaści przez Niemcy. Mac Donald podpisał go, jako warunek wejścia w życie tego układu kładąc rozbrojenie powszechne, a więc przedewszystkiem Francji i Polski. Ten zysk chciał sobie rezerwować.

W chwili, gdy doprowadzał do skutku londyński pakt Dawesa i krasomówcze staczał boje ze swym francuskim kolegą w Genewie, miał już p. Mac Donald boleśnie dotykalne powody, ażeby nie ograniczać swej życzliwości jednostronnie do Niemiec, lecz równocześnie zasługiwać się moskiewskiemu ogniwu Rapallo. Czerwoni bowiem carowie, wkrótce po raporcie komisji Dawesa i francuskich wyborach, zorientowawszy się, że ich widoki na 50 milionów funtów o tyle zmalały, o ile wzrosły widoki niemieckie na 800 milionów marek, nie omieszkali uczcić swego londyńskiego przyjaciela półurzędowym („Prawda”) tytułem „nadwornego błazna” i poprowadzili swoją politykę międzynarodową na tor dla p. Mac Donalda nieco kłopotliwy. Układ z Chinami nie spowodował wprawdzie

sowieckiej ewakuacji Mongolji, lecz za to alimentację jen. Wupejfu i jego zamach na Szanhai. Co gorsza też, iż nie zaprzestając „dywersji“ w Polsce, lecz wybuchem składu amunicji w Bukareszcie zamknąwszy na razie układy Besarabskie, Moskwa odgrzała przyjaźń z Turcją, ostudzoną od czasu solidarnej obrony Konstantynopola przed anglo-grekami. Stąd wynikło, że Turcy z nagłą zajęli zbrojnie część północną naftonośnego wilajetu Mossul w Iraku. Byliby prawdopodobnie zajęli więcej i już z rąk nie wypuścili, gdyby równocześnie Moskwa była wkroczyła do perskiego Azerbejdżanu, gdzie przed wojną stały wojska carskie. Czarnoksiężski zaiste „zbieg okoliczności“ sprawił, że „akurat“ wtedy Gruzini uznali za właściwe powstać zbrojnie przeciw Sowiетom i siły moskiewskie zostały zajęte na kilka tygodni zatapianiem we krwi tej kontrrewolucji. Turcja, po pewnem wahaniu, nie odważyła się rozwinąć na własną rękę szerszej kampanji i przyjęła pośrednictwo Ligi Narodów. Liga Narodów wobec gruzińskiego apelu zachowała się wstydliwie i wymijająco, p. Mac Donald — z wyraźnem zakłopotaniem, ale, koniec końców, angielska nafta, tak w Persji jak i w Mezopotamji na razie ocalała.

P. Mac Donald powrócił z Genewy do Londynu wprowadzić jeszcze z nimbem triumfatora w sprawie odszkodowań, ale z hypoteką polityczną obciążoną prośbą przez zamiar ratyfikacji protokołu genewskiego, bardzo zaś dotkliwie na punkcie konieczności obrony przed Sowiетami w Azji.

Obrony tej nie wyobrażał sobie inaczej jak przez ratyfikację pożyczki dla Sowiетów, z państwową gwarancją angielską. Był to okup pieniężny, groźący przejściem w stały haracz. Było to też podówczas zbyt wiele dla godności narodowej angielskiej. Ratyfikacja w Izbie Gmin nie przeszła i nastąpił kryzys. Gdy ponadto Sowiety, listem Zinowjewa, zagroziły Anglii komunizmem wewnątrz kraju, wybory październikowe 1924 roku, zamknęły krótką, lecz doniosłą, erę pierwszego rządu patrij pracy, przynosząc wielki sukces konserwatystom.

To krótkie, dla Polski wrogie, dla Anglii niezbyt pomyślne i mało zaszczytne „panowanie“ radykalizmu angielskiego w angielskiej polityce międzynarodowej cechowała forsowna protekcja Niemiec, platoniczna usłużność wobec Sowiетów, przymusowa pokora wobec Rapallo. Od tego smutnego okresu dzieli nas przeszło cztery lata angielskiej polityki międzynarodowej w ręku sir Austena Chamberlaina. Nie zmienił on bynajmniej, ani zasadniczego pojęcia angielskiej racji

stanu, której wszystkie rządy angielskie, włącznie z Lloyd George'em i Mac Donaldem, pozostawały wierne, ani nawet Mac Donaldowej taktyki pacyfistycznej na zachodzie. Owszem kontynuował tę ostatnią prowadząc stopniowo Francję i Niemcy od paktu Dawesa do Locarno, od Locarno do Niemiec w Lidze Narodów. Mimo to zachodzi przepaścista różnica między systemami polityki międzynarodowej pp. Mac Donalda i Chamberlaina. Przedewszystkiem w stosunku do Rosji. Konserwatyści angielscy nie dali Moskwie okupu, nie starali się wysługiwać, lecz w imię godności narodowej podjęli wyzwanie. Gigantyczny atak moskiewskiego kominternu rozwinięty na egzotycznych obszarach Azji i Afryki, od Mandżurji aż po Marokko, przez szereg lat odpierali i jeszcze w ostatniej, najnowszej edycji zdołali ostatecznie odeprzeć...

Ale wreszcie pod naciskiem wzrastającego wciąż bezrobocia i pogłębiającego się kryzysu gospodarstwa narodowego, załamała się wola ludu angielskiego i znów postawiła na jednym z najprzemożniejszych w losach świata stanowisk, p. Mac Donalda. *Coup de théâtre* efektowny i groźny, nie tylko jednak dla Polski.

Gdyby to pacyfistyczne angielskie *va banque* miało porwać za sobą ku Berlinowi również Francję, gdyby miało doprowadzić do przewagi Niemiec na wschodzie europejskim, to niebezpieczeństwo by stąd wynikło niemal powszechne dla wszystkich. Jest to oczywiste o ile chodzi o Polskę i państwa sukcesyjne. Nie ulega wątpliwości, o ile chodzi o zagrożone przyłączeniem Austrii do Niemiec i parciem na Bałkan Włochy. Pewne jest dla samej Anglii, gdyby się Niemcy znów zdołały wdrzeć na linję Bizancjum — Bagdad. Z tych samych oraz dalszych, przypominających traktat brzeski względów niebezpieczne jest zbliżenie anglo-niemieckie dla samej Moskwy. Wszak w 1924 roku „nadworny błazen“ londyński nie zdołał utrzymać na korzyść Moskwy równowagi, pomimo iż wówczas była jeszcze potężna, Niemcy zaś słabe, dziś zaś jest naodwrot. Dzisiaj przytem nie Mac Donald rozporządzać będzie kapitałem Międzynarodowego Banku Odszkodowawczego, lecz Ameryka i Niemcy.

W sytuacji obecnej, odmiennej niżli w r. 1924, przeciągnięta struna „pacyfistyczna“ anglo-niemiecka może i powinna tytułem reakcji skomasować rozbieżne dotąd stanowiska państw zagrożonych, w których pacyfistyczny obłęd nie sparaliżował instynktu samozachowawczego i nie poraził poczucia rodzimej racji stanu.

STANISŁAW SZCZUTOWSKI

Z ŻYCIA ZORILLI

(1817 — 1893)

(Dokończenie)

Z RÓDŁEM natchnień Zorilli były wspomnienia poetyckie z Toledo. Odtąd przez całe życie czerpał ze skarbnicy tradycji narodowej i stał się poetą rdzennie hiszpańskim *).

Niebawem wyszło pierwsze zbiorowe wydanie jego wierszy. Z zarobków literackich Zorilla zaczął zasilać na wygnaniu ojca, który wtenczas bawił we Francji. Dokładał tedy starań, by temu podołać i nie

*) Do najpiękniejszych utworów Zorilli należą jego epiki: „*Cantos del trovador*“, „*Poesias*“ (1840-41), „*Noches del Verano*“, „*Flores perdidas*“, „*Album de un Loco*“ (1861), „*Composiciones Varias*“ (1877), „*Granada*“ (1883). Drobne utwory epiczne: „*Kapitan Montoya*“, „*Zahara*“, „*Dobremu sędziemu najlepszy świadek*“ i inne. Z utworów teatralnych — prócz „*Don Juana Tenorio*“ — „*Król obłąkany*“, „*Zdrajca, niewypowiedzany i męczennik*“. (Lange Przedmowa do przekładu „*Don Juana*“).

ustawał w pracy. Pomimo ruchliwego i towarzyskiego usposobienia, potrafił pracować poważnie, unikać niepotrzebnych roztargnień, a w razie potrzeby zamykać się na całe okresy w samotności. Czuł się dumnym, że pomaga ojcu z tak wzgardzonego przezeń zawodu. Żył nadzieją, że go kiedyś przekona i to podniecało jego twórczość. Tkliwa jego natura nie mogła pojąć oziębłości i oschłości ojcowskiej.

Na scenę wprowadziła go współpraca z Garcia Gutierrezem, dramaturgiem o wyrobionem już imieniu literackiem. Pochop do tego dała obu przyjaciółom pustka w szkatule i nagła potrzeba uzyskania skądś gotówki. Guteirrez miał właśnie na warsztacie rozpoczęty dramat („*Juan Dáncolo*“), a dla pośpiechu Zorilla zobowiązał się napisać do niego drugi akt podług planu Gutierrezza. Żądza dorównania starszemu koledze

rozpaliła w nim natchnienie, pisali obaj na wyścigi i w dwa dni sztuka była gotowa, na czwarty zaś dzień otrzymali już za nią 3000 realów w Teatrze Książęcym (*Teatro del Principo*) w Madrycie, drugie zaś tyle od wydawcy, który podjął się ogłosić ją w druku. Było to w sezonie letnim, dyrekcji zależało na ożywieniu repertuaru, wstęp na scenę był łatwy. Zachęcony powodzeniem, Zorilla napisał natychmiast samodzielną sztukę p. t. „Każdy po swojemu” (*„Cada cual con su razon”*), osnutą na wypadkach z czasów Filipa IV. Odtąd pojawiały się już jego sztuki, jedna po drugiej.

Obok talentu dramaturga, poeta posiadał nadzwyczajną łatwość zżywania się z ludźmi. Wkrótce zbratał się z aktorami, przeznaczył ich na wyłot, zaprzyjaźnił się z nimi na śmierć i życie. Poznał do gruntu warunki sceniczne, a role swoje pisał już odtąd głównie dla pewnych określonych osób, dostosowując charakter bohaterów do sposobu gry aktorów. W ten sposób powstał teatr jedyny może w swoim rodzaju, teatr o jakim my dziś nie mamy pojęcia. Dzięki zespoleniu się twórcy z odtwórcami doszło do jedności i harmonii, do potęgi oddziaływania na widownię, do pewności artystycznej poety, tak nieomyłnej, że musiała wydawać arcydzieła. Najcenniejszym z takich arcydzieł stał się po paru latach „Don Juan Tenorio”.

Po pierwszych próbach na polu teatralnym Zorilla szybko rozwinął się scenicznie i przez jakiś czas pisywał prawie wyłącznie dramaty. Stał się najświetniejszym, najpłodniejszym dramaturgem XIX wieku, jedynym godnym następcą Calderona. Jest to najwybitniejszy autor dramatyczny doby romantycznej.

W krótkim okresie (1840 — 1845) napisał około 15 sztuk, których koroną stał się grywany wkrótce na każdej scenie hiszpańskiej „Don Juan Tenorio”.

Sławę celnego artysty dramatycznego zdobyła mu najprzód sztuka „Szewc i Król”. Pierwsza jej część ukazała się jeszcze w teatrze Książęcym. Wkrótce jednak powstał w Madrycie drugi teatr, „de la Cruz” w którym Zorilla został stałym dramaturgem o wysokim wynagrodzeniu. Stał się duszą całego przedsięwzięcia. Teatr ów, współzawodnicząc z natury rzeczy z Teatrem Książęcym, musiał dbać o wybitnie staranną obsadę i wystawienie. Grywali w nim pierwszorzędni aktorowie — tragiczny Latorre, komik Lombardia, świetne aktorki Barbara i Teodora Lamadrid — wszyscy oni z miłości i uwielbienia dla Zorilli przechodzili sami siebie. Solidarny ten zespół stanowił jedną całość. Autor i wykonawcy dopełniali się nawzajem. Role stworzone specjalnie dla aktorów uwypuklały najlepsze strony ich talentu — aktorowie subtelnością gry i szlachetnością cieniowania podnosili słabsze strony sztuki. Widownia porwana, umiesiona słuchała z zapartym oddechem — wieszczy czar poezji prawdziwie przerabiał zjadaczy chleba w aniołów.

Pierwszym utworem Zorilli, który się ukazał na scenie „de la Cruz” była druga część dramatu „Szewc i Król” (*„El Zapatero y el Rey”*). W parę miesięcy później wystawiono „Króla Don Pedra” (*„Rey don Pedro”*).

Najgorętszym sezonem w teatrach madryckich bywało wówczas Boże Narodzenie: benefis z przedstawień świątecznych szedł na korzyść aktorów. To też sami oni wybierali na ten czas sztukę jak najbardziej kasową i starali się o świetną grę i drobiazgową jej przygotowanie. Każdemu leżało na sercu jej powodzenie. W owym roku wybrano „Don Pedra”, co świadczyło o wielkiej już naówczas wziętości Zorilli. Nie było wówczas zwyczaju umieszczania na afiszach nazwiska autora — uchodziło to powszechnie za samochwalstwo i nieprzyzwoitość. Tym razem jednak uproszono Zorillę, aby dla ogólnego dobra odstąpił

od zwyczaju. Literaci i dziennikarze madryccy wzięli mu to ogromnie za złe i oburzeni tą rzekomą arogancją 20-letniego poety postanowili zejść się tłumnie na premierę i pogratyzować sztukę. Przyczyniło się to jedynie do zapełnienia widowni i wbrew złośliwym intencjom nawet najbardziej uprzedzeni musieli uznać triumf autora.

Nastąpiły z kolei. „Sancho Garcia”, „Wyklęty” (*„Excomulgado”*), „Król obłąkany” (*„Rey loco”*), „Alkad Ronquillo”, „Wicekrólowie” (*„Los Virreyes”*) i inne. Rodowód niektórych z nich podaje Zorilla w swych wspomnieniach. Przytoczymy parę szczegółów.

W jednym z sezonów letnich, komik Lombardia zaprzagnął odznaczyć się w pierwszej roli i poprosił autora o specjalną sztukę dla siebie. Sposób gry Lombii nie podobał się Zorilli, trudno mu było dostosować swoje postacie do warunków scenicznych tego aktora. Żałował danej obietnicy i nie wiedział jak z tego wybrnąć. Na pociechę w strapieniu odbywał długie konne przejażdżki za miasto. Raz gdy przejeżdżał przepysznego andaluzyjskiego karosza, dar któregoś z krewnych, nagle przysłała mu chętna wprowadzić śliczne zwierzę na scenę. Umieściłby na nim Lombię, jako rycerza w żelaznym pancerzu: koń równie byłby zakuty w zbroję. Na scenie odbywałyby się turnieje średniowieczne. Lombardia zgodził się na przeznaczoną mu rolę, autor wziął się do pracy i w 22 dni wykończył sztukę. Butny karosze nie dał się jednak przekonać do występu: rzucał się i zrywał, musiano zastąpić go innym. Za to Lombii żądza sławy wyszła na dobre: wywiązał się z zadania znakomicie. Sztuka miała powodzenie, choć krytyka pominęła ją milczeniem.

Inną b. popularną sztukę p. t. „Puginał Gola” (*„El Punal del Godo”*) Zorilla napisał na obałunek w 24 godziny. Chodziło o sztukę na benefis świąteczny dla aktorów, przyczem chciano wciągnąć do tego tragicznego Latorra, najmilszego przyjaciela Zorilli. Projekt powstał w ostatniej chwili: pozostawało parę dni do świąt, a należało przecież jeszcze wyćwiczyć sztukę. Przedewszystkiem obliczono, kto weźmie udział w występie — z góry wykluczono kobiety, miały bowiem złą pamięć i nie zdążyłyby w żaden sposób w tak krótkim czasie wyuczyć się sztuki. Okazało się, że jest czterech kandydatów. Temat wzięto z historii Hiszpanii: z otwartej na chybił trafił książki wybrał Zorilla zdanie o śmierci Rodryga, ostatniego króla Gotów. Na ten temat miał powstać dramat w jednym akcie, w którym występowałyby cztery osoby — miano go odczytać nazajutrz o tej samej porze. Po powrocie do domu Zorilla kazał sobie podać filiżankę czarnej kawy i wziął się do dzieła. Przedewszystkiem napisał początek: „Noc, burza, pioruny, chatka pustelnika”. Pisząc to, sam jeszcze nie wiedział, jakie będzie następne zdanie. Pierwszą osobą był oczywiście pustelnik. Wobec burzy wypadało mu się modlić. Modlił się już przez 36 wierszy, a Zorilla jeszcze nie miał pojęcia co z nim zrobi. Wreszcie musiało się to skończyć — weszła nowa osoba, rycerz zamaskowany, bo poeta chciał zyskać na czasie zanim go bliżej określi. Dopiero podczas rozmowy rycerza z mnichem skrytykował się w jego wyobraźni plan sztuki. Nie było czasu na namysł, przekreślenia lub poprawki. Dopiero zrana odczytał poeta napisane wiersze — wydały mu się przydługie. Wypił filiżankę czekolady i brnął dalej. Przez całą tę dobę pracował jednym tchem, nie kładł się wcale, nie jadł obiadu i był ostatecznie wyczerpany, gdy nadeszła godzina odczytania sztuki. Umył się, wypił filiżankę kawy i poszedł do teatru. Sztuka wypadła dobrze, pomimo nieuniknionych braków z powodu pośpiechu. Stała się z czasem bardzo popularną, gdyż jako utwór bez roli kobiecej nadawała się wybornie do teatrów

amatorskich w liceach, kasynach i t. p. Zorilla nie gardził zaś bynajmniej aktorami teatrów amatorskich — twierdził, że w dbałości opracowania i pietyzmie dla autora nie dorówna im żaden aktor prawdziwy. „Pugañal Gota” grany był wkrótce w całej Hiszpanji, każdy student umiał na pamięć jakiś urywek, a Zorilla czuł się z tego dumnym.

Cały ten okres od r. 1840 — 1845 był dla Zorilli okresem niebywale szybkiego rozwoju i napięcia sił twórczych. Już jako autor 6-ciu dramatów, spędził miesiąc zasłużonego urlopu u poety hr. de Rivas, swego przyjaciela. Przepiękna Sewilla, owiana wonią kwiatu pomarańczowego, wydała mu się rajem. W domu hr. de Rivas panowało ciepło rodzinne, tak potrzebne do szczęścia Zorilli, atmosfera poezji, muzyki i sztuki. W gronie synów i córek hr. de Rivas, obaj poeci odczytywali sobie wzajemnie swoje wiersze. Tu wykończył Zorilla wierszowaną legendę o Srebrnej Głowie, p. t. „Talizman”. Wracał przez Kadyks, gdzie po raz pierwszy ujrzał morze; tu kochał się przez parę tygodni miłością platoniczną w pięknej włoszce Stelli, chorej niestety na katalepsję.

W sezonie 1843/44 r. powstały trzy nowe sztuki: „Młyn w Guadalajarze” („*El Molino de Guadalajara*”), „Najlepszą racją szpada” („*Mejor razon la espada*”) i „Don Juan Tenorio” — słynne arcydzieło, któremu zawdzięcza nieśmiertelność i które w krótkim czasie obiegło wszystkie hiszpańskie sceny jednej i drugiej półkuli. Zorilla napisał go w dni 20.

Od r. 1845 Teatr „*de la Cruz*” zaczął podupadać, zgrany zespół aktorów się rozbił. Wprawdzie w Madrycie powstał trzeci teatr, ale Zorilla nie chciał już brać w nim udziału, wobec obcego mu artystycznego kierunku. Zaczynał się już schyłek doby romantycznej. Do teatru Książęcego nie pozwalało mu wrócić poczucie solidarności z Teatrem „*de la Cruz*”. Wkrótce przestał prawie całkowicie pisywać sztuki teatralne.

W tym okresie doczekał krótkich chwil szczęścia — przyjechała do niego matka, której nie widział od czasu ucieczki z domu. Cieszył się nią jak dziecko, obsypywał pieśczętami, pisał z myślą o niej najpiękniejsze poematy. W ciągu tych szczęśliwych 3-ch miesięcy powstały 3 tomy poezji: między innymi „Pieśni Trubadura”. Na cześć matki, pod wpływem religijnego jej ducha, powstała prześliczna legenda „Małgorzata Furtjanka” („*Marguerita la Tornera*”), którą sam autor uważał za najlepszy swój utwór w tym rodzaju. Osnuła jest na podaniu o młodej nowicjusze z klasztoru, wykradzionej przez Don Juana, którą do chwili jej skruszonego powrotu zastępowała przy furcie Matka Boska. (Na tej samej legendzie osnuł potem Maeterlinck swój utwór p. t. „*Soeur Beatrix*”).

Niestety matka Zorilli w obawie przed gniewem ojca porzuciła wkrótce dom synowski — i nie ujrzeli się już więcej. Umarła zdala od niego, gdy bawił w Paryżu w r. 1847.

Wkrótce po wyjeździe matki Zorilla ciężko zachorował na zapalenie kiszek, podczas długiej rekonwalescencji doznał wiele troskliwości i dobroci od Juliana Romei, byłego dyrektora Teatru Książęcego. Zobowiązany tem dał się ubłagać i napisał dla niego raz jeszcze sztukę p. t. „Zdrajca, niewypowiadany i męczennik” („*Traidor, Inconfleso i martir*”), o temacie historycznym. Uważa ją za jedyny poprawny swój utwór dramatyczny, obmyślony, zbudowany według wszelkich prawideł sztuki — dwa pierwsze akty wydają mu się bez zarzutu. Piszac go miał na myśli głównie rolę kobiecą, przeznaczoną dla świetnej aktorki Matyldy. Istotnie natchniona jej gra zdobyła odrazu widzów, sztuka stała się popularną i nie schodziła ze sceny przez długie lata. Jest to rzeczywiście jeden z najpiękniejszych jego utworów dramatycznych.

Wkrótce doczekał się również przelotnej wizyty ojca, który otrzymawszy amnestję wrócił nareszcie do kraju. Przyprowadził go do syna świątobliwy biskup Tarancon, pełen uznania dla geniuszu poety, ufny że ojciec przebaczy mu nareszcie grzechy młodości i uzna jego sławę. Ale zatwardziały magnat z zimną wzdardą odniósł się do laurów syna i odrąciwszy zimno jego pieśczęty odjechał po paru dniach do rodowej Torquemady, gdzie umarł niebawem samotnie nie wzwawszy nawet przed śmiercią syna. Nie zostawił mu żadnej prawie schedy, prócz podupadłej i zadłużonej Torquemady. Znalazł się też jego testament ultraroyalistyczny i pokwitowanie, że cały swój majątek w gotówce zapisał partji. Było to jakgdyby pośrednie wydziedziczenie syna, niezbite dla Zorilli świadectwo, że ojciec nigdy mu nie przebaczył, że go nie kochał. A więc na nic się nie zdała cała jego literatura, nie zdołała mu nawet wywalczyć miłości ojcowskiej! Śmierć ojca stała się dlań chwilą ciężkiego wewnętrznego przełomu. Wpadł w rodzaj hipochondrii. Znienawidził własną twórczość, umiłowany dotychczas świat fantazji zbladł w jego oczach. Stał się innym człowiekiem. Pisywał już odtąd niewiele. Sprzedał rodowe dobra, zerwał z całą przeszłością, z rodziną, postanowił wyjechać z kraju, zgubić się gdzieś w świecie bezpowrotnie, szukać śmierci. Udał się naprzód do Paryża. Tam w domu bogatego hłszpana Muriela z Vera Cruz dokończył rozpoczęty przed śmiercią ojca poemat „Granada”. Poemat ów zgóry sprzedany wydawcy, zmuszał go do dopełnienia zobowiązań. Równocześnie uczył się po arabsku od wielbego Cassangiana, uczzonego duchownego ormiańskiego. Wkrótce wyjechał do Meksyku, zaopatrzony przez Muriela w listy polecające. Podróż była długa i nużąca. W drodze jego stary, źle zaopatrzony statek o mało nie zatonął; do tego krewki Zorilla o mało nie stoczył pojedynku z jednym z towarzyszy podróży. Na szczęście wszystko skończyło się na niczem; statek zawiął cało do portu, a uraza powzięta na pokładzie rozwiązała się na lądzie. W Meksyku Zorilla znalazł, jak wszędzie, życzliwych i serdecznych przyjaciół; ci otoczyli opieką niepraktycznego i beztroskiego poeę, goszcząc go z biblijną gościnnością w swych olbrzymich dobrach stepowych. Zorilla spędził tam 11 lat (1855 — 1866), wiodąc żywot próżniaczy, wśród plantacji agaw, jeżdżąc huczno na obchody świąt miejscowych, polując na wiewiórki, od czasu do czasu lecząc chorych indjan. Sam przyznaje, że przez całe lata nie brał książki ani pióra do ręki. Przywiązał się do swej przybranej ojczyzny, polubił wesółych meksykańów, przeżył w tym kraju kilka przewrótów rewolucyjnych, ale sam nie brał żadnego udziału w życiu politycznym. Czuł się zawsze jedynie i tylko poetą. Przez jakiś czas bawił w Hawanie, gdzie stracił na żółtą febrę ukochanego przyjaciela Cajigasa. Pod wpływem przeżytych w Meksyku niepokojów wojennych i straty przyjaciela rozwinął się w nim rodzaj cierpienia epileptycznego. Przez jakiś czas miał znaczenie przy dworze cesarza meksykańskiego Maksymiljana. Już miała mu się nśmiechnąć fortuna, bo cesarz Maksymilian obiecywał zająć się nim na stałe i otwierały się przed nim świetne widoki — gdy nagle zmiana stosunków (rodziny) odwołała go do kraju. Wrócił do Barcelony w 1866 r. Wkrótce doszła go tam wiadomość o rozstrzelaniu Maksymiljana. Przez jakiś czas mieszkał w Katalonji. Pozatem wiadomo, że ostatecznie osiedlił się w rodzinnym Valladolid i umarł tamże, w 1893 r. Na parę lat przed śmiercią został uroczystie uwieńczony w Alhambrze, jako największy poeta narodowy.

BARBARA ZAN

LIBERUM VETO

Ciągła niespodzianka. — Ekonomiści, socjologowie i politycy „sanacyjni”. — Nieufność finansistów zagranicznych. — Potwarczy czeszy.

W PRASIE, literaturze, mowach sejmowych i wiecowych, w całej sferze słowa publicznego brzmi u nas bardzo mocno jeden ton, który w społeczeństwach zachodnich odzywa się słabo lub nie odzywa się wcale. Jest to ton wielkiej troski i trwogi o przyszłość państwa polskiego. Wywołuje go nie tylko groźba niebezpieczeństwa zewnętrznego, ale także — i może w wyższym stopniu — słabość wewnętrzna. Nie widzą jej lub nie chcą widzieć prawie wszyscy użytkownicy władzy, wyzyskiwacze obecnego położenia i poborcy doraźnych korzyści, ale jakkolwiek ci szczerzy lub obłudni optymiści stanowią liczną gromadę, są małym ułamkiem ogółu, który utyskuje w biedzie lub drży w strachu.

Gdybyśmy zapomnieli o historii, o tych gorszących faktach, kiedy to szlachta nie chciała zrobić żadnej ofiary z swojej krwi i mienia, targując się z królami o nowe przywileje wobec groźnego wroga i dopiero za tę cenę godziła się wystąpić z nim do walki; gdybyśmy zapomnieli o wszystkich rokoszach, konfederacjach i buntach obozowych, obecna nieczułość na dobro państwa, o którym przecie tak myślano i marzono podczas niewoli, byłaby zjawiskiem niezrozumiałem. Tak wielkiej sumy egoizmów i pożądań samolubnych w odzyskanej niepodległości nie przewidywalismy. Przypuszczaliśmy, że społeczeństwo całą masą rzuci się do budowy państwa, a nie do jego niszczenia, że każdy odda ojczyźnie więcej, niż sobie zostawi, że odbędzie się wyścig pracy i poświęceń dla szczęścia ogółnego. Te rojenia potargał i uniósł wichur zaburzeń, przewrotów i łupiestw. Musimy rozstać się ostatecznie ze światem fantazji i zająć się rzeczywistością. Jeżeli resztki złudzeń zrodzonych, pielęgnowanych i umiłowanych w niewoli kryją się jeszcze w duszach marzycielskich, niedługo znikną bez śladu.

Zwykliśmy żywić społeczne grupować według ich barw politycznych. Byłaby ta klasyfikacja słuszną, gdyby istotnie ich jednostki odróżniały się tylko przekonaniami. Ale zachodzą między nimi bardzo ważne różnice moralne. Długa niewola, która wydobywała z charakteru społeczeństwa lub wytwarzała w nim wiele pobudek złych a jednak skutecznych w obronie — jak obłuda, oszustwo, wiarołomstwo, samolubstwo, następnie wojna, która obaliła wszystkie zasady i zniosła wszystkie hamulce moralne — te dwa główne wpływy powiększyły ogromnie procent sumień niewrażliwych i rozkiełzanych. Występuje on mniej lub więcej we wszystkich stronnictwach, ale najbardziej i najgroźniej w tem, które zrekrutowało się bez żadnych ideałów, tylko pod hasłem wyzyskania przewagi i władzy. Widzimy tu kilka gatunków. Są ekonomiści. Ich wiedza i działalność gospodarcza polega głównie na zdobywaniu dostaw zyskowych, słabo kontrolowanych i umożliwiających kryte zboczenia kontraktowe. W ścisłym związku z nimi pozostają socjologowie, którzy bronią zapamiętałe etatyzmu, zagarnięcia przez rząd jak najwięcej przedsiębiorstw, wyparcia z nich osób prywatnych i obsadzenia urzędnikami stanowisk wysoko płatnych i zapewniających jeszcze wyższe dochody uboczne. Ta kategoria okazuje szczególne zamięłowanie w dobrach ziemskich, lasach, kopalniach i fabrykach państwowych, a najgłośniejszym jej triumfem były słynne budowle p. Miedzińskiego. Trzecią grupę stanowią politycy. Ci znowu myślą ciągle o zamachach i przewrotach, przewidują je, zalecają, przy-

gotowują i niecierpliwą się długiem oczekiwaniem. Te trzy brygady połączone wspólnym mianem „sanacji” albo „radosnej twórczości” mogą działać z tem większą energią i wydajnością swej pracy, że nie potrzebują liczyć się z odpowiedzialnością. Pewien generał został w Krakowie ukarany przez sąd za 90 zł., które wydał, czy też pozwolił wydać bezprawnie. Pomyślimy tylko, co by się stało z p. Miedzińskim, sądzonym według tej surowości, któremu zawaliło się lub zachwiało tyle murów, wzniesionych systemem „radosnej twórczości”! Mamy humanizm swojego chowu, który według przysłowia opłacie muchę siatką sprawiedliwości, ale bąk przebije się przez tę pajęczynę. P. Miedziński nie będzie wzywany przez żaden sąd państwowy, pociągnięty został tylko do odpowiedzialności przez społeczny, ale na tego wyrok — jak mówią w Warszawie — wesoło gwizdże.

Te i tym podobne gwizdania są tak głośne, że usłyszno je w całej Europie i Ameryce. Według ostatnich doniesień na giełdach amerykańskich polskie papiery wartościowe zajęły ostatnie miejsce; wyżej od nich stanęły nawet belgijskie i paragwajskie, pomimo że jednocześnie kilku strategów „sanacyjnych” odkomendowano na ważne przyczółki mostowe w administracji. Na takie dowody naszej energii gospodarczej giełdziarze zagraniczni są całkiem nieczuli, przeciwnie, wyciągają z nich nieprzychylnie dla nas wnioski. Zrozumieliśmy zresztą tę odmienną od naszej logikę finansistów amerykańskich, zwłaszcza że szanowny „obserwator”, p. Dewey pewnie im do ucha szepce coś więcej, niż zawierają jego wstrząsliwe sprawozdania. Ale co nam trudno pojąć — wmyśliwszy się w duszę „sanatorską” — to niegrzeczne zachowanie się naszej przyjaciółki Francji która na starania u niej o pożyczkę odpowiedziała, że obecnie nie widzi odpowiednich warunków, a do tej odmowy dodano objaśnienie, że ona dotyczy tylko udzielania kredytu rządowi, bo osoby i instytucje prywatne mogą pożyczkę otrzymać. Czy to lekceważenie naszych papierów wartościowych w Ameryce i ta odmowa kredytu ze strony Francji, czy liczne dowody nieufności państw zachodnich do naszego „stanu płynnego” nie nasuwają jego twórcom i obrońcom żadnej troski? Wiemy, co mówią, a raczej co kłamią głośno, ale czy pocichu między sobą albo też sami przed sobą nie wyznają, że dzieje się źle i groźnie? Czy przynajmniej niektórzy rozumieją, że gdy ktoś powie publicznie: jesteśmy przedmiotem „podziwu” dla całego świata a ktoś długi krzyczy aż do ochrypnięcia: „niech żyje!” — że to nie rozprasza ogromnych chmur nad Polską i nie odślania słońca dla jej przyszłości? Pomimo najoczywistszych dowodów złej wiary, złej woli i złego nierozumu, niepodobna ośwoić się z myślą, że śród tych niszczących czynników niema wcale dobrej wiary, dobrej woli i dobrego rozumu, przypuszczamy uparcie, że one są, że jasno widzą, że smucą się i cierpią, ale jakaś siła je odurza, onieśmiela i obezwładnia. One zapewne dostrzegają i odczytują znaki ostrzegawcze, który na łcianach naszego państwa pisze zagranica.

Ktoś przysłał mi portrecik Petra Bezruca, „ulubionego poety czeskiego”, który opiewa „mękę Czechów w jarzmie polskim” na Śląsku a także kopję z obrazu J. Brunnera, przedstawiającą lud czeski w Cieszynie, zawieszony na krzyżu przez Białego Orła, z wykrzyknikiem: „Praho, ratuj!” Nic nie wiem ani o Bezrucu, ani o Brunnerze, ale pamiętając o naszej fabrykacji Gargantuów i Pantagruelów, domyślam się, że oba ci panowie są olbrzymami, którzy po rozkraczeniu się mogą objąć nogami całą Pragę. W tych granicach może zamyka się ich sława i znisławienie

Polski. Oczywiście wolelibyśmy, ażeby z tej strony nie zalatywały nas potwarcze odory, ale nie drażnią one nas tak silnie, ażebyśmy w gniewie zapomnieli o tych względach, na których opiera się nasz szacunek i sympatja dla patrijotycznego narodu. Czesi są znakomitymi gospodarzami i politykami, a że w długiej walce o byt nabrali nałogu procesowania się o ziemię, przeto naśladując naszych chłopów, worują się uparcie w sąsiednie pola, zwłaszcza że nie spodziewają się energicznego odporu. W takich zatargach należy trzymać się mocno swojego prawa, ale przytem nie zapominać o zaletach i dobrych czynach procesowicza. Gdy na jednej szali sporu położymy kopę Bezruców i Brunnerów a na drugiej samego Masaryka, ta przeważa. Politycy czeszy tej miary i wartości, co ich szanowny prezydent, którego usta wypowiadały przy każdej sposobności słowa szczerzej przyjaźni dla Polski, z pewnością nie pochwalają oszczerczych mazanin piórem i pendzlem swoich bezmyślnych rodaków. Na sumieniu Polski można zapisać wiele grzechów, przeważnie popełnionych względem samego siebie, ale nigdy grzechu gnębienia innej narodowości. Orzeł biały nad krzyżem, na którym ma być rozpięte „*cesłnsko*“, jest właśnie czeską kaczka, wylęglą w pustej głowie. Cierpliwy papier wszystko zniesie, a więc i urojone męczeństwo Czechów na Śląsku polskim, ale rzeczywistość albo plunie na taki obrazek albo z niego się rozśmieję.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

G Ł O S Y

JÓZEFATOWI ANDRZEJOWSKIEMU W HOŁDIE

W DNIU dzisiejszym (16 czerwca 1929) liczny zastęp wielbicieli cnót i zasług Józefata Andrzejewskiego, czci uroczystym obchodem osiemdziesiątą rocznicę Jego urodzin i sześćdziesiątą — podjęcia przezeń prac na terenie społecznym i oświatowym.

Józefat Andrzejewski urodził się w roku 1849 w Kielcach, z ojca Antoniego, znanego i cenionego lekarza, uczestnika powstania listopadowego 1831 r. i matki Aleksandry z Wysockich. Andrzejewski kończy gimnazjum w Kielcach w 1868 r. i wyjeżdża na praktyczne studia ceramiczne do Szwajcarii. To poznaje Andrzeja Towiańskiego w Zurichu, styka się z nim osobiście, ulega jego potężnemu, wysoce religijnemu wpływowi i od tej chwili pozostaje na całe życie wiernym i wdzięcznym jego uczniem. Towiański rozłącza przed nim w rozmowie program pracy społecznej i wielką ideę posłannictwa Polski: „Idź w życie z wiarą i ufnością w Boga, z miłością do ludzi, idź w rzeszę robotniczą, w lud, umoralniaj, podnoś, służ, buduj dusze, a przez dusze przyszłość Polski! Po jednej z rozmów Towiański uchylił drzwi od przyległego pokoju, gdzie był zawieszony obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej i powiedział: „A teraz bracie pomódl się i proś o błogosławieństwo w twoich postanowieniach na nowe dalsze życie!“. Wpływ Towiańskiego zdecydował o kierunku całego życia i dalszej pracy Andrzejewskiego. Studjuje ceramikę, wraca do kraju i rozpoczyna pracę zawodową w cegielniach i warsztatach ceramicznych, zbudowanych przez niego przy pomocy i współudziale Galicyjskiego Banku Parcelacji i Budowy w Łagiewnikach pod Krakowem. Po pewnym czasie prowadzi już fabrykę na własny rachunek i zostaje jej kierownikiem.

Wpływa na własnych pracowników i robotników, wpływa też na okolicę, cieszy się poważaniem i zaufaniem. W 1878 roku likwiduje w Krakowie swoje przedsiębiorstwa i postanawia jechać tam, gdzie polskość najwięcej była zagrożona: na Kresy Wschodnie, do Kijowa. Przybywszy na teren zupełnie sobie obcy, kupuje pusty plac w Kijowie na Padole przy ulicy Kiryłowskiej, poparty jedynie skutecznie przez głośnego kijowskiego architekta Walerego Kulikowskiego i żonę jego utalentowaną rzeźbiarkę, wśród największych trudności i przeciwności, osobistą pracą i zaparciem się, buduje własną fabrykę ceramiczną, jaką od pierwszej chwili jej funkcjonowania uważa przedewszystkiem za podstawę dla swojej narodowo-oświatowej i społecznej polskiej pracy na terenie Kijowa i Rusi. Jednocześnie wchodzi w kontakt z tajnym Towarzystwem Oświaty Ludowej. W roku 1881 zakłada u siebie w fabryce tajną szkołę. Z czasem staje się poniekąd ośrodkiem akcji tajnego szkolnictwa. Sam odmawia sobie wszystkiego, prowadzi żywot ascety. Większą część zarobków fabrycznych i środków, zdobyte z publicznej ofiarności, do jakiej umiał pobudzić społeczeństwo polskie, oddaje na szkoły dla dzieci polskich. Tajny Zjazd Oświatowy w 1904 roku, w zakonspirowanem mieszkaniu Henryka Zdanowskiego, dyrektora cukrowni, w którym wzięło udział około 600 osób z całej Rusi, tworzy Towarzystwo Oświaty Narodowej i wybiera Andrzejewskiego prezesem. 1906 roku stoi na czele jawnego wówczas Towarzystwa „Oświata“ jako jego przewodniczący. W tym samym roku widzimy go krzątającego się w Komitecie Budowy najpiękniejszego dziś w Kijowie kościoła Św. Mikołaja, pod zwierzchnictwem nieśmiertelnej pamięci prezesa i hojnego ofiarodawcy ś.p. Leonarda Jankowskiego.

Zamknięcie T-wa „Oświata“ w r. 1908 i zwiększenie represji przez rząd rosyjski, zmusza działaczy do prowadzenia znowu pracy oświatowej konspiracyjnie. Duszą, jak dawniej, jest Andrzejewski. W roku 1913 aresztowany na posiedzeniu działaczy w Kijowie, pozostaje przez dwa miesiące w więzieniu Łukjanowskim. W roku 1914 zesłany do Astrachania na trzyletnie wygnanie, wszystkie swoje siły oddaje i tam pracy wśród wysiedleńców z Polski. Z ramienia T-wa Pomocy Ofiarom Wojny organizuje wspólnie z p. Stanisławą Klimaszewską, przewodniczącą T-wa Dobroczynności, warsztat zabawek dziecinnych. Po rewolucji w 1917 r. wraca do Kijowa. Wybrany w czerwcu 1917 r. Prezesem Macierzy Polskiej w Kijowie i Kierownikiem Wydziału Oświaty Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi, pełni obowiązki, wypływające z tych stanowisk, wśród najgorszych warunków, jakie stwarzały ciągłe zmiany rządów ukraińsko-denikinowsko-bolszewickich, wszystkich zawsze i wszędzie wrogich dla polskiej szkoły i oświaty. W 1920 roku przybywają do Kijowa wojska polskie, a z nimi nadzieja wywiezienia działwy z ochron, żłobków i szkół polskich. Nadzieja zawiodła, wskutek wycofania się armji polskiej, dzieci zostały, a z nimi został i Andrzejewski. Zabrano mu wszystko. „Czerezwyczałka“ poszukiwała go z całą energją. Andrzejewski, chroniąc się, pracował jako robotnik w okolicy Kijowa, zarabując na życie, ale nie przestawał w przebraniu robotnika odwiedzać w mieście ochron i żłobków polskich; czuwał, radził, zabiegał, aby dusze działwy polskiej ratować od zatracenia jadem bolszewickim.

Dzięki sprzyjającym okolicznościom udało mu się w październiku 1921 r. przybyć do Polski. Uratował i przywiózł do Polski, przy współudziale bezgranicznego poświęcenia p. Marji Stępowskiej, p. W. Długockiej i prof. Bolesława Guttmana, zgórą setkę dzieci,

i szukał ratunku dla pozostającej jeszcze w Kijowie polskiej diatwy. Przedstawiał tę sprawę i kołatał o ratunek dla tych dzieci w instytucjach państwowych i społecznych.

Stał na do pracy w Macierzy Szkolnej jako sekretarz, w Warszawskim Czerwonym Krzyżu jako skarbnik i członek Zarządu. Pełni obowiązki vice-prezesa w Kuratorjum Ognisk Akademickich z Kresów i członka Zarządu Towarzystwa Pomocy Dzieciom i Młodzieży z Kresów. Stał się też orędownikiem spraw i ludzi z kresów, a litanii jego prac i starań w zakresie pomocy uczącej się młodzieży z kresów i poszukiwania pracy dla bezdomnych i bezrobotnych, spisać niepodobna.

Józefat Andrzejowski, to postać jasna i czysta, dla której wszyscy, którzy mieli sposobność ją poznać, żywią szacunek i cześć. Wskazaniom Andrzeja Towiańskiego: „Idź i czyn dobrze” w ciągu pracowitych 60 lat służby społecznej nie sprzeniewierzył się.

Z TAJEMNIC ASTROLOGJI

TWÓRCZOŚĆ każdego rodzaju znajduje dla siebie miejsce w „Myśli Narodowej”. Twórczość poetycka, malarska, polityczna, naukowa zdohywa sobie krytykę i życzliwą ocenę. Czyżby bez miejsca miała przychodzić do mety twórczość najszczytniejsza, twórczość prorocza?

Leży na mojem biurku „1929 r. Pierwszy Polski Kalendarz Astrologiczny, oparty na podstawach naukowych astrologii, przy współpracy astrologów polskich” (opracował Fr. A. Prengel, Bydgoszcz, cena 2 zł.).

Żyjemy w wieku XX; stwierdźmy to, aby uniknąć nieporozumień.

Jakiś p. Prengel w Bydgoszczy, czy też w okolicy tego miasta, w pogodną noc zamyka się szczerlnie w opuszczonej wieży i bada tajemnice gwiazd. Podpatrujemy go w tej chwili, jak lunetę przyłożył do oka i celuje.

Zestawia horoskopy, dla dobra rodaków. Kosztuje w handlu, 2 złote.

Większą część książki zajmują pouczenia, mające znaczenie dla jednostek. Treść ich zamilczę z sympatii dla autora.

Zeszyt mieści w sobie jednak kilka traktatów o doniosłości powszechnej. Temi zajmę się tutaj.

Oto astrofizyk dr. med. A. Mueller z Kreuznach w artykule p. t. „Astrologia w świetle nowoczesnych badań” stwierdza na podstawie własnych, długoletnich studiów, że „wszelkie choroby stanowią zakłócenie w funkcji najdrobniejszych naczyń włoskowatych ludzkiego i zwierzęcego organizmu, wywoływane wpływem różnolitych konstelacji gwiazdnych w poszczególne dni, miesiące i pory roku. Wpływ ten jest tem silniejszy, im więcej człowiek oddala się fałszywem odżywianiem od natury, która stworzyła go owocem orzechożernym”.

Tak oto w pracy napisanej specjalnie dla pierwszego polskiego Kalendarza astrologicznego, „wielki uczony niemiecki” rozwałił całą medycynę, odkrywając za jednym zamachem prawdę, dokąd ledwie niejasno przeczuwano: oto produkty roślinne dzielić należy na owoce i orzechy. „I papierówki” — chciał dodać p. Prengel, wydawca Kalendarza, lecz powstrzymał się przez fałszywą skromność w stosunku do dzieła proroka z Kreuznach.

Pominiemy pouczenia Kalendarza dla polskich lotników transatlantyckich oraz wskazówki astrologiczne dla rolników, gospodarzy i ogrodników. Kto chce mieć dobre plony albo też przelecieć Ocean

Atlantycki, a nie chce zadrzeć z gwiazdami, niech wybabuli 2 złote i kupi Kalendarz.

Odtań nabywać będzie losy na loterię jedynie w dni kosmicznie harmonijne, ponadto zaś dowie się losów świata w r. 1929.

Oto Baran pchać będzie Niemcy i Anglię do nowych, niezwykle wynalazków, Grecja, Turcja i Indie przygniecione zostaną wpływem Panny (co się bisurmańskim krajom oddawna nie zdarzyło).

„W Rosji wzrost agitacji i nowe trudności wewnętrzne, zewnętrznie natomiast polepszenie się stosunków, szczególnie pod względem handlowym”.

Co czeka Polskę? Temu warto się przyjrzeć bliżej.

Na naczelnem miejscu stwierdza autor, że w roku bieżącym zrealizuje się dużo życzeń polskich... w zakresie sportu.

Pozatem „będziemy świadkami poważnych zawiązań Sejmu z Rządem z powodu zmiany Konstytucji, deficytu bilansu handlowego, machinacji kupieckiej, spekulacji i t. p.”. O grochu z kapustą prorok nie wspomina.

Grozą natomiast Polsce „wielkie rozruchy i rewolty, strajki, morderstwa i przelewy krwi, dalej wybuch epidemii i różnorodnych chorób głowy, ócz, żołądka, szkarlatu i skórnych chorób, raka, afazji i *meningitis*”. Widocznie sądzono nam byśmy marli, jak muchy, w powrocie z boisk sportowych!

„Zainteresowanie się instytucjami położnic jest wskazane” — jęczy dalej w roli Jeremjasza podpisany pod wieszczbą A. Sękowski — „Rząd niech da się wreszcie przekonać, że używanie lizolu i t.p. środków przed i po położu sprowadza zatrucia organizmu naszych położnic, przez co przyszłość Polski jest zagrożona”.

Dla handlu i przemysłu widać dobre perspektywy w... Kamerunie. Przypominają się rady, dawane niedawno Polsce przez „Nasz Przegląd”, by starała się o mandat Ligi Narodów w części Kamerunu niemieckiego, celem skierowania tam nowej emigracji. Dla autochtonów, powołujących się na Kazimierza Wielkiego, zostałoby więcej miejsca.

Autor przepowiedni astrologicznej wskazując Polskę na jej przyszłość w Kamerunie, nie zaniedbał przestrzec, że sięgnięcie Polski po Kamerun „wywoła zazdrość Francji i Włoch”.

Lecz mniejsza o to. „Pomoc nadejdzie ze strony żydów”.

Prorok okazuje się w tej sprawie lepiej poinformowany od polskich polityków.

Tem skwapliwiej słuchajmy jego proroctw.

Oto nastąpi porozumienie Polski z ościennymi państwami. Jakie są to państwa ościenne? Powtórzmy lekcję geografii, by uniknąć pomyłki: Rumunia, Czechosłowacja, Rosja, Litwa i Niemcy.

Prorok nie omieszkiał wspomnieć i o kolonizacji Polesia, czem również żywo interesuje się prasa żydowska ze względu na żydowskie osadnictwo rolne po obu stronach Dniepru. Oto „zostaną wykorzystane przez osuszenie bagien wielkie obszary urodzajnej gleby, zwłaszcza, gdy w tym kierunku przyjdzie do porozumienia ze wschodnim sąsiadem”.

Chyba dość jasno zdradziły gwiazdy swą polityczną sympatię.

„*Felix, qui potuit rerum cognoscere causas*” — kończy wieszcz — „Oby dumą i pychą nie kierowali się nasi dostojnicy, lecz prawdą się posługiwali, która tkwi w królewskiej wiedzy astrologii”. Horoskop dla Bolszewji opiewa na rok 1932/33 utratę wielkich prze-

strzeni ziemi i wojnę z Polską i Japonją. Horoskop dla Polski, postawiony na dzień uchwalonej konstytucji, wskazuje na wielkie zwycięstwo na wschodzie... Rok 1932/33 co do stosunków politycznych wskazuje na wspaniałe interesy Polski z Niemcami i Czechosłowacją".

A więc ramię w ramię z Niemcami—na zdobycie wielkich przestrzeni ziemi na wschodzie. Czy za cenę utraty małych przestrzeni ziemi na zachodzie?

Potrudził się dla nas prorocy gwiazdźścił i to wszystko za marne 2 zł.

Mamy nieomylnie wskazówki dla naszej polityki zagranicznej i wewnętrznej.

Mamy dążyć na wschód i kolonizować Kamerun. W Polsce rdzennej jest ciasno, więc trzeba innym zrobić miejsce—oto podszepty gwiazd.

Panowie Pranger i Sękowski! Jak to szczęśliwie dla was, że życie w okresie cywilizacji, postępu, Ligi Narodów i Palestyny!

Kodyfikacja prawa rzymskiego, dokonana za cesarza Justyniana, wieszczbiarstwo z gwiazd stawiała na równi... z trucieliem!

HENRYK ROLICKI

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

RZĄD I PARLAMENT W ANGLJI

O PINJA publiczna poza granicami W. Brytanji interesuje się głównie tem, jaki wpływ na politykę międzynarodową będzie miało dojście do władzy p. Mac Donalda. A jednak i stosunki wewnętrzne w Anglii budzić muszą zaciekawienie. Naprzód oczywiście dlatego, że od stanu wewnętrznego państwa zależy siła, a często i kierunek jego polityki zewnętrznej. Po wtóre dlatego, że zarówno przebieg wyborów, jak i utworzenie rządu rzucają światło na obyczaje polityczne narodu angielskiego.

Co do polityki wewnętrznej nowego rządu, można z góry przewidzieć, że będzie ona umiarkowana. Jeśli nawet się jest wyznawcą poglądu, że doktryna socjalistyczna jest trucizną dla życia państwowego, to trzeba stwierdzić, że trucizna ta będzie stosowana w bardzo niewielkich dawkach, a więc może mieć działanie bardzo słabe. Wyborcy angielscy oświadczyli się przeciw konserwatystom, bo ci otrzymali tylko 8 i pół miliona głosów na 22 miliony głosujących, a nie za Partją Pracy. W parlamencie stronnictwa burżuazyjne (konserwatywne—liberalne) mają większość—316 głosów na 615. Skład gabinetu p. Mac Donalda i jego dotychczasowe deklaracje świadczą o tem, że pragnie się on utrzymać przy władzy przynajmniej dwa lata i że będzie prowadził politykę ostrożną i umiarkowaną. Od wyniku jego rządów będzie wszak zależało, czy nowe wybory dadzą mu wyraźną i trwałą większość, czy też powołają z powrotem konserwatystów.

Obserwatorom kontynentalnym to, co się dzieje obecnie w Anglii, wydaje pod wieloma względami dziwne, a nawet wprost trudne do zrozumienia: wszak Partja Pracy otrzymała tylko nieco więcej, niż trzecią część głosów; wszak nie ma ona większości w parlamencie, a nie szuka koalicji z innymi stronnictwami i bierze rządy w swe ręce!

Jest rzeczą pouczającą przyjrzeć się cyfrom:

	głosów	mandatów
konserwatyści otrzymali	8.609.951	251
Partja Pracy	8.370.182	288
liberałowie	5.284.990	58
różni	293.886	5
Razem	22.559.009	602

Obliczono, że gdyby w Anglii zastosowano system proporcjonalny, konserwatyści otrzymaliby 230 mandatów, Partja Pracy 223, liberałowie — 141. Rząd zaś tworzony systemem kontynentalnym musiałby się oprzeć na koalicji dwóch stronnictw. To też w pismach francuskich i innych czytamy na ten temat rozważania, które kończą się zazwyczaj wnioskiem, że system wyborczy angielski jest absurdalny, a tworzenie rządu „niesprawiedliwe“.

A jednak! A jednak nie jest to tak całkiem jasne i proste. Różnice w poglądach wynikają li tylko z różnicy w punktach wyjścia i w stosowanych kryteriach. Politycy kontynentalni szukają systemu wyborczego, któryby dał parlament, będący najwierniejszym i najsprawiedliwszym odbiciem układu politycznego czy partyjnego w społeczeństwie, a politycy angielscy szukają systemu, któryby dał najtrwalszy, najsilniejszy i najlepszy rząd.

System proporcjonalny daje niewątpliwie wynik najwierniejszy i najsprawiedliwszy, lecz zarazem powołuje do życia parlament bez większości i zmusza do rządów koalicyjnych. Rządy koalicyjne zaś nie są najczęściej ani silne, ani trwałe, ani też nie posiadają wyraźnego programu i wyraźnej, konsekwentnej polityki.

System angielski natomiast — gdyby istniały tylko dwa stronnictwa, co było regułą doniedawna w Anglii — daje wyraźną większość i w rezultacie trwałe i silny rząd. Dzięki temu, że istnieją obecnie w Anglii trzy stronnictwa, przechodzi parlamentaryzm w tym kraju ostry kryzys. Radzą sobie Anglicy w ten sposób, że oddają rząd stronnictwu najliczniejszemu, choć nie posiada bezwzględnej większości. Doradcy kontynentalni usilnie radzą Anglikom, by przezwyciężyli kryzys przez zastosowanie systemu proporcjonalnego. Zdaje się jednak, że opinia angielska jest bardziej skłonna do tego, by wrócić do systemu dwóch stronnictw... Gdyby stronnictwo liberalne zniknęło z powierzchni życia politycznego, to wszelkie trudności byłyby od razu rozwiązane. Nie jesteśmy powołani do dawania rad w tym wypadku, to jednak nie ulega dla nas żadnej wątpliwości, że wprowadzenie systemu proporcjonalnego przy wyborach dopiero by wywołało istotny kryzys parlamentarny w Anglii, kto wie czy nawet wprowadzenie zmiany polegającej na wymaganiu, by do wyboru było potrzebne otrzymanie bezwzględnej większości, co z kolei zmusza do powtórzenia operacji wyborczej, gdy żaden z kandydatów nie otrzyma takiej większości, czy taka zmiana nie zaburzyłaby działania parlamentu angielskiego?

Stoimy po stronie tych, którzy powiadają, że sprawdzianem dobroci i odpowiedzialności systemu wyborczego nie jest ani jego matematyczna dokładność, ani też t. zw. „sprawiedliwość“, lecz jedynie wynik praktyczny, jaki daje w postaci utworzeniu rządu. Mamy to przeświadczenie, że wszystko opiera się w ostateczności na umówionych konwenansach, mających uznanie powszechne w sumieniu i oparcie w przyzwyczajeniu ogółu. Wyborca angielski nie posiada żadnych wątpliwości, że wynik wyborów odpowiada prawu i sprawiedliwości, z jego poczuciem prawnem i z jego sumieniem obywatelskiem godzi się w zupełności to, że p. Mac Donald, otrzymawszy około trzeciej części głosów i nie mając bezwzględnej większości w parlamencie, będzie rządził Anglią.

Parlament zrodził się i ukształtował w Anglii. Stamtąd przeszczepiono go na ustroje polityczne większości krajów europejskich. Wzięto jednakże formę, duch ulotnił się z niej przy przekroczeniu kanału La Manche. Kto wie wszakże, czy oparcie parlamentaryzmu europejskiego na teorjach Russa i Wielkiej Rewolucji francuskiej nie zaszczepiło mu jadu, który dziś naraża go na tak dotkliwe choroby? Może znawcy kontynentalni zamiast

doradzać Anglikom wzorowanie się na systemach wyborczych naszych, zrobiliby lepiej, gdyby się postarali o to, ażeby zrozumieć istotę parlamentaryzmu angielskiego oraz poznać przyczyny jego trwałości i rozwoju. Przekonaliby się wówczas, że stosowaniu kryterium użyteczności i ciągłości rozwoju, wytwarzającej ustalony obyczaj polityczny, zawdzięcza Anglja swe instytucje polityczne, będące jednym z czynników jej historycznej potęgi.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

O CHARAKTERZE I PSEUDOCCHARAKTERZE

W ŻADNEJ może dziedzinie sytuacja obecna nie wyrządza szkód tak dotkliwych, jak w dziedzinie wychowania, a w szczególności kształtowania charakterów, na których brak ogólne są skargi.

Charakterów nie można urabiać, stosując pewne recepty, obmyślane choćby przez geniuszów pedagogicznych. Wychowawca sam musi posiadać charakter, ażeby go w wychowanku kształtować. Musi być sam wzorem charakteru i móc wskazywać na takie wzory w społeczeństwie. Wszystko się zaś dziś składa na to, ażeby ludzi o wybitniej zaznaczonych charakterach od wpływu na młodzież odsunąć, dopuszczając do tej roli raczej osoby, umiejące się dostosować do kierunku wiatru. Wszystko się też składa na to, ażeby samo pojęcie charakteru wypaczyć, przystosowując je do pewnych krótkowzrocznych celów.

Warto zatem zwrócić uwagę na to, że obok prawdziwych charakterów są też i podobne do nich z pozoru pseudocharaktery. Charakter jest to tworząca się w ciągu życia jednostki jednolita organizacja wewnętrzna wszystkich jej uczuć i dążeń, które już wcześniej muszą być wychowawczo kształtowane. Organizacja ta, podobnie jak organizacja dużej grupy ludzi może być dobra lub zła — i na tem właśnie polega różnica między charakterami a pseudocharakterami.

Wyobraźmy sobie, mówi pewien autor angielski¹⁾, że chcemy powołać do życia jakieś wielkie przedsiębiorstwo. Zbieramy tedy mnóstwo pracowników o różnych specjalnościach, grupujemy ich w szereg oddziałów i organizujemy każdy z tych oddziałów tak, że może on doskonale działać w swoim zakresie. To daje nam obraz organizacji psychicznej dziecka przed utworzeniem się charakteru. Brak w niej jeszcze jedności, ponieważ brak zwierzchniej władzy, któraby scalała i koordynowała działania poszczególnych części. Przy sprzyjających warunkach taka niescalona organizacja może działać niezgorzej, ale bardzo łatwo może też stracić równowagę. Jeden oddział przedsiębiorstwa jest może niepotrzebnie wielki i aktywny, inny zamało liczny i ociężały, a niema możliwości zapobieżenia tym niedomaganiom, lub ich naprawienia.

Potrzeba więc takiemu przedsiębiorstwu głowy, dyrektora, lub ścisłego zarządu, którego zadaniem byłoby ogarnianie myśłą całości, rozumne określanie jej celów, ewentualnie rozszerzanie ich lub zmienianie. Znając dokładnie siły, zalety i wady każdego oddziału, kierownik musi uzgadniać ich działania, dbać o to, ażeby każda część organizacji podporządkowała się odpowiednio celom całości i przyczyniała się we właściwy sposób do

ich realizowania. Dopiero pod takim koordynującym całość zarządem staje się przedsiębiorstwo prawdziwie jednolitą organizacją, która zdolna jest do jak najintensywniejszego działania nawet przy niesprzyjających i zmieniających się warunkach.

Są ludzie dorośli, których organizacja charakteru nie doehodzi do tego najwyższego stopnia zorganizowania. Jedni pozostają stale na stopniu organizacji o wielu oddziałach bez kierownictwa naczelnego, albo też o kierownictwie bez jasnej myśli przewodniej, nie znającem swoich podwładnych, nie mającem nad nimi władzy. Ludzie tacy mogą żyć poprawnie w spokojnych, ustalonych warunkach, ale nie potrafią zachowywać się odpowiednio w nowych, a zwłaszcza niekorzystnych okolicznościach, nie są zdolni wydobyć z siebie potrzebnej energii, są bezwolni.

U innych znów wytwarza się pewna pseudooorganizacja w ten sposób, że jedna z części ich psychiki — niepomiernie rozrosła — tłumi inne i do pewnego stopnia podporządkowuje je sobie. Może to być żądza władzy, ambicja, chciwość, miłość macierzyńska i t.p. Przejawiać się może taki stan w wielkiej energii i uporczywości działania, w pewnym jednak tylko kierunku: mówimy wówczas o namiętności. Typy takie pociągają jako temat komedjopisarzy — tak powstał np. „Skaplec“ Moljera. Jest to również niedorozwój charakteru, tak samo jak i zupełny brak wewnętrznego trzona. Weźmy na przykład kobietę, opanowaną wyłącznie przez instynkt macierzyński i miłość do swych dzieci, która pracuje dla nich z zaparciem się siebie, z heroizmem nawet, — całe jej życie opanowane jest przez to jedno uczucie. Przytem może być jednak niemądrą matką, dzięki zaślepieniu wychowującą swe dzieci na łotrów. Zdolna jest może do tego, by w razie potrzeby dla swych dzieci kraść, oszukiwać, krzywdzić innych, nie doznając z tego powodu wyrzutów sumienia — wszystko, co czyni dla dzieci, wydaje jej się dobrem i słusznym; cel jej uświęca dla niej wszelkie środki.

Niedorozwinięte charaktery spotyka się także u ludzi o dużych zdolnościach umysłowych i bogactwie uczuć. Ludzie tacy nie rozumieją swych motywów, albo niezdolni są krytycznie ich oceniać. Działają zawsze jakby pod wpływem natchnienia. W pewnej chwili wygłaszają zdania, które uznają za przekonaniem za bezwzględnie prawdziwe, a za parę miesięcy z równym przekonaniem głoszą zupełnie coś innego. Otoczenie nie może ich zrozumieć, niemniej jednak obok surowych krytyków miewają oni zagorzałych zwolenników.

Autor angielski, z którego zaczerpnąłem powyższe poglądy i porównania, ponlewaź zdają mi się być u nas na czasie, kończy je ustępem, który przytoczę dosłownie: „Takie głębokie, bezkrytyczne przekonanie o słuszności swych poglądów i zamierzeń może się przyczynić do zwiększenia powodzenia danej jednostki szczególnie może w życiu publicznem, gdzie powodzenie zależy od wywarcia wrażenia na masie i od przywiązania do swego rydwanu pewnej znaczniejszej części społeczeństwa. Ale ludzie tacy... zyskują tę władzę nad otoczeniem tylko dzięki temu, że tak znaczna część członków społeczeństwa pozostaje, jak i oni sami, w tym stanie niedorozwoju charakteru, o jakim mówiliśmy. Tylko wobec takiego zespołu odnosi skutek sztuka demagogów, i nie pomoże na to samo rozpowszechnienie wykształcenia umysłowego oraz znajomości spraw publicznych“...

¹⁾ W. Mc Dougall. „Character and the conduct of life“ Rozdz. V.

NAUKA I LITERATURA

„LEVIATHAN“

TRZY lata temu zaledwie ukazała się powieść nieznanego dotąd zupełnie pisarza, p. Juliana Green, p. t. „*Mont Cinère*“. Krytyka przyjęła ją od razu bardzo przychylnie, wróżąc dużą przyszłość jej autorowi. Nie zasypiając bynajmniej na laurach, wydaje on w rok potem nową książkę „*Adrienne Mesurat*“, która wywołuje jeszcze większe zainteresowanie dla jego talentu. Aż oto ukazuje się obecnie trzeci z kolei utwór p. Green'a noszący symboliczny tytuł „*Leviathan*“*), o którym jeden z francuskich krytyków, p. Edmond Jaloux, nie zawaha się napisać, iż jego autor jest jednym z największych powieściopisarzy współczesnych i znakomitym artystą. Większa zresztą część prasy literackiej z nęmniejszym odnosi się uznanie.

To uznanie nowego, oryginalnego talentu nie miałoby w sobie nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że p. Julian Green nie jest Francuzem, ale Amerykaninem, urodzonym w Paryżu i który tutaj odbył swe studia. Po wojnie dopiero, w czasie której służył jako ochotnik na froncie francuskim, udaje się on do Ameryki, gdzie spędza trzy lata na Uniwersytecie w Wirginii, poczem wraca na stałe do Francji. Ameryka straciła w nim niezawodnie wielkiego pisarza, gdyż pomimo swego pochodzenia należy on do literackiej rodziny francuskiej, tak jak w swoim czasie Conrad przyjął poniekąd naturalizację literacką angielską.

Młody ten, bo niespełna lat 30 liczący pisarz, w przeciwieństwie do całego zastępu współczesnych torów, nie szuka bynajmniej natchnienia we własnych przeżyciach. Nie przenosi on również na aupapier wypadków, przy których był obecny ani też widzianych obrazów. Julian Green tworzy wyłącznie w swojej imaginacji twórczej zarówno ramy danego utworu, jego akcję, jak wreszcie i jego bohaterów, których obdarza charakterami i psychologią do ich roli przystosowaną. Na tej wyobraźni twórczej oparta jest cała jego powieść, zresztą bardzo solidnie, w najmniejszych szczegółach skonstruowana. Nie należy też w niej dopatrywać się żadnej transpozycji z życia, ani też osobistych upodobań autora, który oświadczy otwarcie, że do swoich bohaterów nie odnosi się ani z większą ani z mniejszą sympatią: odtwarza on tylko przy ich pomocy dany skrawek życia ludzkiego, w którym niezawodnie duże znaczenie przypisuje fatalizmowi.

Julian Green celuje niezawodnie wywoływaniem silnych nastrojów. Cały rozwój akcji „*Leviathan*’a“ owiany jest atmosferą smutku i tajemniczości, noszącej plętno fatalizmu. Miejscowość, w której się dramat rozgrywa, jak i jego bohaterowie są wytworami, jak wiemy, wyobraźni autora. Jednak cały ten świat, przezeń do życia powołany, jest światem prawdziwym, podobnie jak prawdziwe są charaktery i uczucia pierwszo i drugoplanowych postaci tej powieści. Można powiedzieć, iż siła talentu Juliana Green polega właśnie na przelstoczeniu wyobraźni w rzeczywistość. Na twórczości jego znać wpływ Balzac’a i Dickens’a. Niektórzy dopatrują się także, i to z uporczywością, wpływu Dostojewskiego, wykazując jak łatwo można nieraz mylić się w swych sądach, gdyż Julian Green nie zna zupełnie jego dzieł.

Paryż

IRENA BRIARES

*) Julien Green „*Leviathan*“ (Plon édit.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nowa powieść T. Brudzewskiego p. t. „*Płomień na wietrze*“ (Gebethner i Wolff, 1929, str. 267) raz już pretensjonalnym tytułem, nic nie mówiącym. (Arcy to ciekawa kwestja, że tytuły, zasługujące na osobne omówienie!) Książka jest zresztą bardzo zajmująca do str. 183, t. zn. dopóki autor trzyma się przedwojennego gruntu paryskiego, który zna dobrze, i na którego tle maluje nam niedobitki polskiej emigracji po r. 1863. Z dużym humorem, przechodzącym zlekka w szarżę, B. szkicuje tu kilkanaście typów ciekawych, w szczególności starego powstańca, jego syna i wnuczkę, Maję. W części jednak drugiej, porzuciwszy ów grunt paryski, autor błądzi bez celu, stwarzając istne karykatury sytuacji i osób. Robi to wrażenie, jakby mu chodziło poprostu o dociągnięcie do przepisowej objętości gebethnerowskiego tomu. Książka żykałaby dużo, gdyby na str. 183 B. poprostu napisał: „koniec“.

*

Autor dramatyczny oraz nowelista p. Kazimierz Wroczyński wydał niedawno tom poezji pt. „*Samolot*“ (nakładem księgarni F. Hoesicka). Poeta zdaje się szukać własnych dróg i nie należy do żadnego z ugrupowań, co mu niewątpliwie na dobro zapisane będzie. W twórczości swej jednak nie jest oryginalny. Wpływy parnasizmu francuskiego *via* nasze stylizacje poetyckie z przed wojny zaważyły na jego poezji całkiem wyraźnie. Już sam tytułowy utwór poematu — „*Samolot*“ jest powietrzniem *vendant* do „*Statku pijanego*“ Art. Rimbaud’a.

I w dalszych lirykach spotykamy się z ulubionymi od dawna efektami kolorystycznymi, symboliką, apostrofami do kobiecości itd.

Jeśli od strony formy można jednak mniej więcej ująć profil poetycki p. Wroczyńskiego, to od strony założeń i tematów, koncepcji i samego wątku lirycznego — tak wielka panuje rozlewność, że o żadnej wyrazistej linii, zdecydowanym wrażeniu mówić się nie da.

Tylko drobne liryki są pod tym względem zdecydowane. Natomiast najdłuższy utwór „*Symfonia tragiczna*“, jakkolwiek zapożyczająca aż z tragedji klasycznej swą dyspozycję, jest obłocznym widowiskiem jakiegoś skłębienia nastrojów i uczuć — osnutych arcy-łuzno dokoła pewnej koncepcji: walki uduchowienia i ziemskości, odbitej w widowiskach wschodu, zachodu, nocy. Dłuższe przetrwanie tej koncepcji dałoby rzecz o wiele dojrzalszą. Na wyróżnienie zasługuje motyw antyczny, grecki i w strofie i w obrazie. Zdaje się, że w tym kierunku mógłby dać poeta utwory i oryginalne i piękne. I w garści przekładów dołączonych do tomu, ogromnym temperamentem wybija się przekład słynnego „*Pervigilium Veneris*“ (zresztą tłumaczonego już u nas przed wojną). Poezja antyczna jest zdrowym i szlachetnym wzorem.

*

Niezrozumiały jest cel fatygi, którą przedsięwziął p. Witold Hulewicz, tłumaczac nudną i rozwlekłą powieść Tomasza Manna p. t. „*Królewska Wysokość*“ (Lwów, 1929, Minerva, str. 496.) Są to dzieje jakiegoś przedwojennego książątka niemieckiego, które otrzymuje stereotypowe dla niemieckich suwerenów wychowanie, jak np. synowie Wilhelma. Ciekawy szczegół, że ów królówicz ma lewą rękę uschniętą. Czyżby więc to była satyra na Hohenzollernów?

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Największym powodzeniem z wszystkich nowszych sztuk dramatycznych cieszy się w Czechosłowacji Rudolf Medka „*Pułkownik Svec*“ (nazwisko bohatera legionów czeskich, który w najkrytyczniejszym momencie zginął w ofierze dla sprawy narodowej). W ciągu ośmiu miesięcy doczekała się praca ośmiu wydań książkowych, była wprowadzona na 86 scen krajowych i wystawiona 1.360 razy. Takiego sukcesu w Czechach jeszcze nie było. Obecny prezes Związku liter. czeskich uzyskał rekord.

*

Niedawno jeden z najbardziej zasłużonych wydawców czeskich Jan Lajchter obchodził rocznicę 70 urodzin i równocześnie 35-le istnienia swego wydawnictwa. Lajchter ma prawo do stwierdzenia, że ani razu nie splamił się wydaniem dzieła o wątpliwej wartości literackiej i dla rozwoju kultury krajowej niepotrzebnego. W tym względzie należy do najzaciejszych postaci w świecie wydawniczym. Od 1894 roku wydał własnym nakładem 2.480 osobnych tomów, uwzględniając głównie piśmiennictwo naukowe, podręczniki historyczno-kulturalne, dzieje literatury światowych oraz klasyków poezji we wzorowych edycjach ściśle krytycznych.

OFENSYWA

WSZĘDOBYLSCY

ISTNIEJE gatunek pisarzy polskich, których nazwiska czyta się w prasie ciągle, stale, codziennie, przy każdej okazji, w każdej kronice. Są to poprostu ludzie o tyle bezdomni, że w domu mało przebywają, a przeważnie tylko na *agora*. Kiedy ci „arystokraci ducha” z ulicy mają czas na pisanie, kiedy na czytanie, kiedy na jakieś życie wewnętrzne duchowe, na pogłębianie się w osamotnieniu swoich studio, tego doprawdy nie dociec ni domyśleć się nie sposób. Damy które dawniej tak się dawały stale wszędzie oglądać i podziwiać nazywano: „lafiryndami”. Nie było w tym epitecie nic tak znowu pogardliwego ale też i nic pochlebnego. Lafirynda wszędzie się trynda. O każdej godzinie na mieście. Kwesty, komitety, wenty, dobroczynność, *charitas*, rzekoma służba społeczna i spełnianie obowiązków obywatelskich, a w gruncie rzeczy pustka wewnętrzna, płyiczna, i skutkiem tego pasja wałęsania, komitetowania, głosowania, sekretarzowania, układania deklaracji, wybierania prezesów itp. dzień w dzień, dzień w dzień.

Do takich wszędobylskich mężów politycznych należy np. Aleksander Lednicki. Pracuje w siedmiuset komitetach, obmyśla 400 obchodów, obecnie zawiązuje „Ligę racjonalnego połowu raków”, „Związek propagandy rzeźby polskiej w krajach bałkańskich”, „Towarzystwo popierania hodowli grzybów”, „Koło zwolenników Azerbejdżanu”, „Komitet budowy pomnika Petlury” itp.

Z literatów imponujący są pod tym względem pp. Sieroszewski i Bandrowski, aczkolwiek i biskup Bandurski w ostatnich czasach też przeważnie sypia w wagonach i potokami swojej złotoustej wymowy zalewa gdzie może swolch słuchaczy. Otóż ci panowie Sieroszewski i Bandrowski są ciągle wszędzie. Podobno tego sobie życzył ich patron. Są więc w charakterze sekretarzystów marszałkowskich. Nie śpią chyba, nie jedzą, a tylko Akademje, posiedzenia, komisje, komitety, zjazdy, wyjazdy, reprezentacje. Kaden i Sieroszewski są wszędzie, we wszystkich towarzystwach literackich, dziennikarskich, artystycznych, wojskowych, kinowych, radiowych, balowych, raut dla Gruzji, akademja Gruzińska, bankiety, śniadania, *Pen-Club*, Pol-Bal, wszędzie, zawsze. Tak im kazano, niech wszędzie pilnują i kontrolują. *Les absents sort toujours tartes...* Takich samych rozsyłają do wszystkich pułków i garnizonów, trochę w charakterze detektywów dyktatury. Szczególnie pan Sieroszewski jest niezmordowany z tem wałęsaniem się. Dekoruje sobą każdą estradę, każdy stół, każdą inaugurację, każde posiedzenie. Wygłasza zawsze stereotypowe, bezzdenne puste i płytkie gadaniny „pokryte rzęsistym aplauzem”. Na tej podstawie np. że napisał niegdyś sztuczki do melodramatyczne na tle drugiej części zyciorysu bogatej pani R...ann, wpisany też do zwięzku autorów dramatycznych, najpunktualniej pierwszy na posiedzenia przychodzi, ostatni odchodzi, prezyduje, gada, gładzi, nie mając ani z dramatem ani ze sceną nic wspólnego, byle tylko trzymać instytucję pod kontrolą J. P. Otwierają Wystawę w Poznaniu, Sieroszewski przypięty do Prezydenta fotografuje się na pierwszym planie. Akademja dla Petlury, Sieroszewski gada, pięciolecie ś. p. Narutowicza, Sieroszewski gada, jubileusz bogatej firmy wydawniczej, Sieroszewski gada, bogata Żydówka urządza we dworze „staropolskie dożynki”, Sieroszewski jest, konkursy hipiczne—jest, otwarcie wystawy—jest, zamknięcie turnieju—jest, odsłonięcie pomnika na Pradze—jest, msza polowa z Bandurą—jest śniadanko z pacyfistami niemieckimi—jest, poświęcenie nowego okrętu—jest, „ochroną Pomorza”—jest.

I czy potem dziwić się, że powleściła już ramoty? Czy potem dziwić się, że wobec tego rozwłóczenia naszych pisarzy, tego ich rozleniwienia czy rozlechniowania nic z tej literatury nie idzie zagranicę, że za tłumaczenia na obce języki my musimy płacić (podczas gdy np. Czechom płacą), że za wystawienie sztuk w Londynie trzeba było beknąć sporo funtów, zamiał żeby autor zgarniał tantieme.

Jakże się to zatracił i zmarnował talent takiego Sieroszewskiego przez nakazane mu kontrolowanie, rewirowanie i zandarmowanie wszystkich asocjacji literackich, aby się tam endeki nie wkradły i „olbrzyma nie pomniejszały”.

Ostatnio ten ongiś zdolny nowelista podróżniczy stara się o realizację swego filmu o księciu Pepim. O Poniatowskim dowiedział się z Aszkenaza i pokochał go już choćby dlatego, że mu także Józef. Scenariusz ma gotowy. Orot ma sztukę wierszykami napisaną, Sieroszewski film. Ale trzeba na to forsy. Kołatał już i tu i tam, ale jakoś nie idzie. W wywiadzie z „Czerwoniakiem” decyduje zrzec się kosztownej „monumentalności”, a dać tanio w „kameralnym” formacie, głównie o Hani z Powiśla. Jak się o tem dowie błędny Orot, to zgrzytnie zęba-

mi, że mu „Hanle” z przed nosa sprzątają, ale darmo. Czaszy ciężkie, na „Hani z Powiśla” można zarobić, bo jest w stylu epoki... Chodzi więc o to, żeby rząd dał monetę. I pan Sieroszewski prosi „Czerwoniaka” o interwencję i protekę no i lekkie terror... „Postać polskiego Bayarda”.

Z całej siły i z głębokiego przekonania popieramy tę propozycję czy petycję zasłużonego nowelisty. Na koncepcję księcia Pepi mu wystarczy. Film będzie ludowy ale dobry. Szwoleżerów się weźmie. Przy końcu może być apoteoza spotkania dwóch Józefów rozebranych na koniach, na pomnikach.

Dajcie panowie Sieroszewi ten film do „realizowania”, choćby tylko „kameralnego”. Był się czems już zajął, czems zatrudnił. Jest bowiem coś naprawdę upokarzającego słyszeć o tem, jak ten reprezentant polskiego piśmiennictwa, włec niby arystokrata ducha, nic innego nie robi, jak tylko dekoruje i garniruje sobą wszelkie obchody, posiedzenia i tak zw. „akademje”. Do tego powinien wystarczyć p. Kaden-Bandurski, p. Lechoń p. Rygiel i t. p.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Po wybiciu szyb w „Kurjerze Porannym” w prasie „sanacyjnej” rozległy się głosy, nawołujące do „praworządności”, „potępienia metod gwałtu”... i t. p. Jest zjawiskiem nader krzepiejącem, że idea „praworządności” zdobywać zaczyna w Polsce nowe całkiem zastępy zwolenników...

Podczas wiecu akademickiego w Warszawie, jeden z mówców, chcąc obrazowo przedstawić przykład bezmyślności i tępoty użył trafnego porównania: — „Trzeba być kłosem — mówił — aby tego nie rozumieć, tępym, bezmyślnym kłosem”...

Jak donosi „Głos Prawdy”, przygotowywane jest zbiorowe wydanie pism i mów Józefa Piłsudskiego. Oby tylko było kompletne! Wszyscy, którzy uważają za pożyteczne, aby opinja społeczeństwa o osobie i roli historycznej Józefa Piłsudskiego jak najściślej odpowiadała rzeczywistości, z prawdziwą niecierpliwością oczekują tego cennego wydawnictwa.

W liście do ś.p. rektora Brudzińskiego dn. 6 listopada 1916 r. Józef Piłsudski pisał:

„Gdyby mi rząd mój nakazał czyścić buty, tobym to z całą nieumiejętnością czynił”...

Przed paru tygodniami tenże Józef Piłsudski podyktował sędziemu śledczemu Trybunału Stanu takie oświadczenie:

„Ja, Józef Piłsudski, urodzony w r. 1867, odmawiam wszelkich zeznań wobec rządu, sądu i oskarżycieli”.

Boy, przejawsz się nie na zarty wesołem przezwiskiem „mędrcą”, nadanem mu przez Sichulskiego, już od dłuższego czasu bawi się w uczonego, w szczególności zaś specjalizuje się bodaj w Mickiewiczu. W nr. 23 „Wiadomości Literackich”, omawiając „tajemnice pamiętnika Zofji Szymanowskiej”, cytuje wielokrotnie listy Mickiewicza do Towiańskiego, gdzie mowa między innemi o Sewerynie Pilchowskim. Ta elementarna jednak wiadomość nie jest atoli znana „uczonemu” Boyowi, który z całą nałownością twierdzi, że w listach tych Mickiewicz mówi o Sewerynie... Goszczyńskim. Trzeba, zaiste, być ignorantem zupełnym w dziejach towianizmu, by z rygorysty Goszczyńskiego uczynić wielbiciela Deibelki! Trzeba też mieć duży tupet, by zabierać głos w sprawach tak sobie obcych. Trudno, rasa ma swoje prawa!

Czas odnowić prenumeratę „Myśli Narodowej”, która wynosi na III kwartał 9 zł., a do końca roku tylko 17 złotych.

Nieopłacone egzemplarze za kwartał II zostaną wstrzymane.

BANK HANDLOWY W WARSZAWIE S.A.

ROK ZAŁOŻENIA 1870.

Centrala w WARSZAWIE ul. TRAUGUTTA 7/9

KAPITAŁ ZAKŁADOWY 20.000.000.—

Adres telegraficzny Centrali i wszystkich Oddziałów z wyjątkiem Wilna „HANDLOBANK“.

Adres telegraficzny Oddziału w Wilnie:
„HANDLOWY — WILNO“

Oddziały miejskie: Królewska 6, Tłomackie 1.

Oddziały prowincjonalne: Baranowicze, Będzin, Brześć n/Bugiem, Częstochowa, Kalisz, Katowice, Kowel, Łódź, Lublin, Lwów, Płock, Radom, Równe, Sosnowiec, Wilno, Włocławek.

„M O R Z E“

Jedyne w Polsce czasopismo ilustrowane, poświęcone zagadnieniom morskim i kolonialnym.

WYCHODZI 1-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

Marynarka Handlowa i Wojenna, Żegluga Morska, Sprawy Portowe, Literatura Morska, Sport Wodny, Bogata Kron. Morska, Dział Kolon.

Każdy numer zawiera obfitą treść oraz kilkadziesiąt ilustracji i rysunków w tekście. Cena numeru pojedynczego 1.20 gr. PERNUMERATA roczna zł. 12, półroczna zł. 6, Konto czekowe PKO 9747.

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA, KRÓLEWSKA 9, M. 6. TEL. 315-88.

Administracja na żądanie wysyła bezpłatne numery okazowe „M O R Z A“.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „Z O R Z A“
wysła świeżo książka p. t.

Dzieje Polski lat ostatnich od roku 1865

Książka jest dziełem prof. WACŁAWA SOBIESKIEGO i stanowi osobne, niezmienione wydanie tomu III-go jego „Dziejów Polski“. Posiada wszystkie zalety dzieł tego pisarza. Nowe wydanie zostało zaopatrzone w 20 ilustracji, portrety postaci historycznych omawianej epoki.

Książka ma 245 stron druku. Kosztuje 5 złotych.

Nabywający „Dzieje Polski lat ostatnich“ za pośrednictwem „Myśli Narodowej“ nie ponoszą kosztów przesyłki książki.

Najstarsza i Największa Fabryka w Kraju

OBIĆ PAPIEROWYCH

TOW. AKC.

„J. FRANASZEK“

WARSZAWA, WOLSKA 41,

TEL. 1-71; 1-73, 1-75; 1-79; 203-27:

Kapitał Zakładowy 4.284.000.

Rok stuletniego jubileuszu: 1829—1929

MAGAZYN DETALICZNY

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr. 15 TEL. 1-72

Obicia dla wszystkich:
od najskromniejszych do najwytworniejszych.

ISTNIEJE OD 1838 ROKU.

S. HISZPAŃSKI

SZEW C

W WARSZAWIE,

ul. Krakowskie Przedmieście 7

ISTNIEJE OD 1838 ROKU.

TREŚĆ: Po zajęciach lwowskich *T. Bieleckiego*. — Dział i przed laty 10-ciu *St. Strońskiego*. — Przemiany angielskie *St. Szczutowskiego*. — Z życia *Zorilli Barbary Zan* — *Liberum veto Al. Świętochowskiego*. — Głosy: *Józefatowi Andrzejowskiemu w hołdzie*; Z tajemnic astrologii *H. Rolickiego*. — Z polityki zagranicznej *S. K.* — Wychowanie narodowe *J. Korn.* — Nauka i literatura („*Lewiathan*“ *I. Briares* i t. d.) — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego*. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45,
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPLACONA RYCZAŁEM